

# Część tego świata

---

*Sever Gansovskij*

Stali na klatce schodowej, oczekując na windę, która wznosiła się ku nim skądś z dołu, z sześćdziesiątego któregoś poziomu.

- Po prostu poradzisz się - odezwała się Rona, - Bądź co bądź taki człowiek jak on powinien coś z tego zrozumieć. To tylko my żyjemy, nic nie wiedząc o świecie. Kears to co innego. Popatrz i od razu odgadnie, co tam się skrywa między wierszami. Moim zdaniem, nic w tym złego, jeżeli go odwiedzisz. On sam przecież ciągle nas zaprasza.

- No, to chyba tylko przez uprzejmość...

- Przez uprzejmość skończyłoby się na jednym liście albo i na pocztówkach od święta.

- Tak... może i racja.

- Przestań się wahać - powiedziała Rona. - Lepiej rzućmy raz jeszcze na to okiem, póki nie ma windy.

- Niech będzie.

Les wyjął z kieszeni giętką żółtą karteczkę. Nie miał pojęcia, z jakiego była materiału, rzucało się jednak w oczy, że wydrukowane na niej litery były niezwykle wyraźne, niemal odstające od tła.

## **KONCERN „ZAUFANIA” (nieszkodliwe dla zdrowia)**

TWOJE KŁOPOTY biorą się stąd, że Twoje marzenia przerastają możliwości.  
PODEJMujemy SIĘ USUNĄĆ TE DYSPROPORCJE!

### **ZAPEWNIAMY:**

1. Uczucie bez troski
2. Spełnienie DOWOLNYCH TWOICH MARZEŃ

Gwarantujemy poczucie stabilnego zadowolenia do końca życia, ściśle według wpłaconej kwoty.

**MYŚLIMY I PODEJMujemy DECYZJE ZA CIEBIE -  
a mimo to stale będziesz miał o czym rozmawiać z Twymi bliskimi.**

ANI CHWILI NUDY!

Zgodnie z prawem i za zgodą Rządu.

- Najbardziej podoba mi się to, że będzie o czym rozmawiać - Rona wyjęła kartkę z ręki Lesa. - Przecież od czasu wyjazdu chłopców, poza przeklinaniem programów telewizyjnych, prawie nie odzywamy się do siebie.

- Tak... ale popatrz, oni tu sami sobie przeczą. Z jednej strony „spełnienie dowolnych marzeń”, a jednocześnie - „ściśle według wpłaconej kwoty”. Wygląda na to, że oni chcieliby zabrać wszystkie pieniądze, akcje i tak dalej, podsumować to, i potem, w zależności od wyniku, obniżyć poziom naszych wymagań przez jakąś operację mózgową czy psychoterapię - to chyba jedyna możliwa droga. Obawiam się, że to nas ostatecznie otumani - jak wszyscy będą szczęśliwi, to przecież nikt się z domu nie ruszy. Pewnie im coś nie tak wyszło z elektrodami, wymyślili więc coś nowego, skuteczniejszego...

- Co za „oni”?

- No ci, z góry... I jeszcze ta kwota. Akcje przecież to spadają, to rosną, pieniądź też nie ma stałej wartości, a tu powiadają - „poczucie stabilnego zadowolenia”.

- A czegoż nam potrzeba bardziej jak nie stabilizacji? Wiesz przecież, ile straciliśmy na zmianach kursu. Nasze papiery wciąż tracą na wartości, póki je trzymamy w ręku, a jak tylko co sprzedamy, zaraz skaczą w górę - to już niemal prawo ekonomiczne.

- Jakie prawo? Po prostu kupowane są te akcje, które powinny wzrosnąć.

- Dobrze, dobrze. Wiem tylko, że jak tak dalej pójdzie, stracimy wszystko.

- Tak, ale w jaki sposób koncern podejmie się zapewnić stabilizację, jeżeli nie ma wpływu na wahania kursów?

- Właśnie o tym powinieneś porozmawiać z Kearssem.

- A może najpierw wezwać ich agenta i wybadać go?

- Nie. - Rona potrząsnęła głową. - Sam doskonale wiesz, że z miejsca by nam pozawracał w głowach. Nie mamy co się mierzyć z agentami - po to ich przecież szkolą, żeby na każdą naszą wątpliwość mieli sprytną odpowiedź. Jak taki tobą zakręci, to choćbyś ze skóry wyłaził - podpiszesz. W ogóle wpuścić agenta do mieszkania, to zgodzić się na wszystko. Dlatego właśnie sądzę, że póki co warto zapytać Kearsa o zdanie. A przy okazji dowiesz się, jak to z nim właściwie jest. Podpisuje się przecież Setera Kears, tak jakby trzeba było...

Na piętnastej linii szczęknęła winda, biegnąc bez zatrzymania ku górze. Winda linii dziewiątej zatrzymała się, w tej samej jednak chwili nie wiadomo skąd wyskoczył jakiś człowiek, rzucił się do środka, zatrzasnął drzwi za sobą i odjechał. Za drucianą siatką przemykały to w górę, to w dół kabiny innych wind. Zza drzwi naprzeciw sączył się jazzowy motyw, spoza sąsiednich - chrobotanie jakiegoś mechanizmu. Na zewnątrz, za ścianami, z hukiem przelatowały pociągi kolei nadziemnej, na moment zagłuszone falą uderzeniową odległego samolotu, poczta pneumatyczna plunęła w przezroczystą skrzyneczkę porcją gazet, czasopism i całą furą żółtych giętkich karteczek.

- Naciśnij jeszcze raz i wyjdźmy na balkon.

Blade słońce powoli wznosiło się znad horyzontu. Wąwozy ulic w dole spowijał czerwona woszarzyna welon smogu.

- Dziwne. - Les oparł się o balustradę. - Czasami z góry wypatrzysz jakiś oddalony zaułek i wydaje ci się, że życie tam musi być bardziej interesujące, że kryje się tam jakaś tajemnica czy sekret. Jednak jak

tylko tam dojedziesz, złudzenie pryska – wszystko takie samo: sklepy, mury, ulice - nic nowego, żadnej tajemniczości.

- Les, przestań się roztkliwiać, „Zaufanie” nam pomoże. Nie będzie chyba to nic w rodzaju klasztoru. Zresztą, ty masz czterdzieści siedem lat, ja o dwa lata mniej - w naszym wieku do klasztoru?

- W każdym razie pełna utrata suwerenności. - Les obrócił twarz do Rony. - Zrozum, dopiero teraz pojąłem, na czym polega różnica pomiędzy „zaufaniem” a innymi systemami. Weźmy, na przykład, takiego człowieka „na smyczy” - płaci raz określoną sumę, a oni zapewniają mu za to jasność rozumowania. Nikogo nic nie obchodzi, co on zrobi z resztą pieniędzy, czy je wyda, czy nowe zarobi, absolutnie nikogo. Możesz być uczciwym urzędnikiem, możesz być gangsterem, nawet lewakiem, co to bomby przykleja do klamek - dla nich jesteś tylko klientem. A tu zupełnie co innego - masz oddać wszystko, co twoje, do ostatniego grosza, a oni ci za to oferują beztróskę, ale nie jakkolwiek, tylko taką jaką sami ci dać zechcą. I przy tym na zawsze - „do końca życia” - tak powiadają. Tak więc jeżeli zgodzimy się, to z wolną wolą koniec, to chyba jasne. Będziemy musieli całkowicie zdać się na ich łaskę.

- A czy myśmy kiedykolwiek mieli własną wolę? I ta cała suwerenność ~ co ona daje? Człowiekiem możesz czuć się tylko wtedy, kiedy obcujesz z innymi ludźmi, nawiązujesz z nimi kontakty, a tu - w domu telewizor, w sklepie samoobsługa, w przychodni diagnozę stawia komputer, nawet w pracy - i tam przyjmuje cię, kontroluje, a w razie czego i wyrzuca, maszyna. Dookoła tyle ludzi, że trudno się precyzyjnie, ale to wszystko przechodnie, obcy, do których ani ust nie można otworzyć. Mój Boże, kiedyś ty pojechał odwiedzić dzieci, ja przez dwa tygodnie słowa nie wymówiłam. Jeżeli nawet zostało we mnie cokolwiek ludzkiego, nie mam się z kim tym podzielić.

Rona obracał w rękach żółtą karteczkę.

- Jednym słowem, trzeba podjąć decyzję, póki jeszcze coś mamy, bo jak będziemy dalej się tak miotać, to przepuścimy wszystko i nawet „Zaufanie” nam wtedy nie pomoże

Podąła kartkę Lesowi.

- Popatrz, zauważyłeś to przedtem? Można ją wyginać na wszystkie strony, a litery nie zmieniają kształtu. Nawet linijki pozostają proste.

- Aha, zdumiewające... O, jest moja winda!

Miasteczko było niewielkie, nie więcej niż dziesięć tysięcy mieszkańców. Biegająca prosto droga przebijała je na wskroś, jak kula karabinowa.

Aby tu trafić, Les skręcił z ośmiopasmowej krajowej szosy na drogę czteropasmową - musiał przy tym przesiąść się z tylnego siedzenia na przednie i sam ująć w ręce kierownicę - z niej zaś następnie na zniszczoną betonową szosę nawet bez linii osiowej. Jednak i dla tak marnej drogi miasteczko nie stanowiło punktu docelowego - nie rozplywała się ona w siatce ulic, lecz gnała dalej przed siebie, koślawa i wyboista.

Mimo to, a może właśnie dlatego, zapuszczając się coraz dalej, Les rozglądał się wokół siebie z rosnącym zadowoleniem.

Wraz z ośmiopasmową autostradą pozostawił za sobą opustoszały, monotony pejzaż: posplatane w kilka warstw estakady, sięgające aż po horyzont stalowe maszty i kominy, ciągnące się kilometrami tajemnicze kamienne mury, ziejące wyloty szybów wentylacyjnych, całkowicie zautomatyzowane fabryki na zmianę z bezokiennymi bryłami domów mieszkalnych, nieprawdopodobnie wielkie kopuły zbiorników gazu czy całe pola betonu najeżone antenami łączności kierunkowej.

Już wjazd na czteropasmową szosę przyniósł pewną odmianę: cywilizacja nie dotarła tu jeszcze szerokim frontem, wysuwała jedynie swoje zagony. Wiele tu było robót rozpoczętych, jednak znacznie mniej zakończonych. Pokryte rudą szczecinią rdzy rury i betonowe płyty ze sterzącymi kikutami zbrojenia oczekiwały dopiero, jak rozrzucone klocki, chwili gdy stworzą precyzyjne konstrukcje, a wśród stosów cegieł rosły kępy tego, no... łopianu i, jak jej tam... ach, tak, pokrzywy. Niebo zaś, choć szarawe, wolne było od huku odrzutowców.

Prawdziwe cuda zaczęły się jednak później, po skręcie na beton. Pobocza drogi mieniły się błękitem cykorii, żółcią jaskrów i czerwienią maków, gęsto utkanych w najwyczejniejszej trawie, w oddali widniały pojedyncze drzewa, a wszystko otulała cisza. Z każdym dziesiątkiem kilometrów nieboskłon stawał się coraz to bardziej czysty i błękitny. Lesowi aż ścisnęło się serce, gdy pomyślał, że można by tu wybudować sobie domek i raz na zawsze posłać w diabły tę całą przeklętą technologię. Ech!

Tam daleko, na Florydzie,  
Domek cały w kwiecie wiśni.  
Tam o swoim Mayne Reedzie  
Piękna pani piękne sny śni...

To przecież treść jego najgłębszych marzeń - las, pole, ogród, dom, trochę niezbędnych zapasów - wszystko własne, tylko „jego, z nikim niepodzielne. Każda sprawa jasna od początku do końca, żadnej przypadkowości, świadomość, że polegać trzeba wyłącznie na sobie. W dzień praca, wieczorami ciche szczęście w kręgu rodziny - cóż wtedy znaczy krach na giełdzie?

Na to jednak nie stać nawet koncernu „Zaufania” - mogą się najwyżej postarać, aby jego mieszkanie na osiemdziesiątym ósmym piętrze wydało mu się przytulne...

W tym odmiennym kraju ludzie też byli inni. Oczekując na otwarcie szlabanu na przejeździe kolejowym, Les przysiadł na ławeczce obok kobiety gospodarującej tu w skromnym domku. Przed nimi przemknął staroświecki elektrowóz, ciągnąc za sobą długi wąż wagonów towarowych, i zniknął w oddali, pozostawiając szyny znów puste i spokojne, jak gdyby istniały tylko dla samych siebie - ot, nitka wybiegająca z nicości i w nicość prowadząca.

Był tutaj nawet kot, zwierzę, o którym mówiono, że już wymarło... Wskoczył na ławkę obok Lesa i począł ocierać się oń kosmatym łebkiem, wydając mrukliwe dźwięki. Dobierając słów, aby nie wydać się niedelikatnym, Les spytał kobietę, czy jej się tu nie nudzi.

- A co to nuda? - odpowiedziała patrząc nań dobrodusznie. Po chwili namysłu dodała jeszcze wyjaśniająco: - Ja nie mam telewizora.

Kot ułożył się na jej kolanach, wydając wciąż te same odgłosy. Nie wyglądało na to, żeby był świadom, że jest przedstawicielem wymarłego gatunku.

Idyllę mącił jedynie plakat przyklepiony na ścianie domku:

PRZYPUŚĆMY, ŻE

- Twoja rodzina zginęła w katastrofie
  - straciłeś posadę
  - opuścił Cię przyjaciel i
  - zapadłeś na nieuleczalną chorobę
- Mimo tych wszystkich nieszczęść możesz być

NAPRAWDĘ SZCZĘŚLIWY

Zwróć się do nas

Les uśmiechnął się gorzko. „Nieprawda, jak cię wyrzucą z pracy, będzie już za późno” - pomyślał. Za późno, a raczej nie będzie za co.

Po jeszcze jednej godzinie jazdy, dokładnie o siódmej, zatrzymał ponownie samochód, by sprawdzić na drogowskazie, czy jedzie właściwą drogą. Zarówno drogowskaz, jak i ostatni list Kearsa utwierdziły go w tym przekonaniu. Okolica była tu już zupełnie sielska - grały świerszcze, różnokolorowe kwiaty tworzyły istny dywan, od klonowego zagajnika pachniało miodem - i wszystko gratis. Widok taki, jaki mógłby być we wczesnych latach siedemdziesiątych, i to nawet w tysiąc osiemset siedemdziesiątych,

Psuła go jedynie dziwaczna krzywa wieża na horyzoncie, jak gigantyczny siny palec celująca w niebo - zbędna, a jednocześnie tajemnicza. Nie na miejscu również była stojąca obok drogowskazu idiotyczna tablica reklamowa, prowokacyjnie zapytująca:

CZY CI NIE WSTYD?

W dalszej drodze Les miał jeszcze dwie takie tablice. Następna głosiła:

MELANCHOLIA

to dziś dolegliwość równie dokuczliwa jak

**BÓL ZĘBÓW**

Trzecia wreszcie, już u samego wjazdu do miasta, krzyczała jaskrawymi fluoryzującymi literami:

Różnica pomiędzy

ZŁYM NASTROJEM A BÓLEM ZĘBÓW

polega na tym, że ten pierwszy daje się wyleczyć

NATYCHMIAST I NA ZAWSZE

Skontaktuj się z naszym lokalnym agentem

Gdy Les minął dwie ulice i przejechał wzdłuż trzeciej, wydało mu się, że miasteczko to zna doskonale z książek. Mieszkańcy takich miejsc, z braku innych powodów, zwykli byli szczić się przeszłością, której z reguły im nie brakuje - czy będzie to krwawa bitwa, której pobojuwisko do dziś można oglądać, czy też nieoczekiwany boom sprzed stu lat. Ustalony w starych powieściach dla takich miejscowości schemat zawiera także dwie gazety, „Przyjaźń” i „Zgodę”, nieustannie nawzajem się zwalczające, rynek, pomnik generała (nikt już dziś nie pamięta, z kim on wojował), „zabytkową ulicę”, gdzie domy liczą sobie po dwadzieścia lat, a ten, w którym jest restauracja, nawet całe osiemdziesiąt,

masę zieleni i czystego powietrza. Jeżeli dać wiarę powieściom, właśnie z takich miasteczek ucieka się w młodości i do nich powraca dokonać żywota.

Les krążył po mieście, a ono jakby starało się ucieleścić owe literackie, wymaginowane schematy. Naprzeciw redakcji „Patrioty” mieściło się biuro gazety „Obywatel”, wewnątrz żelaznego ogrodzenia drzemała stara armatka, a placyk wokół wybrukowany był kamieniami przesuwanymi się pod naciskiem kół samochodu jak owe bolące zęby, które trudniej wyleczyć niż melancholijny nastrój.

Przechodnie byli nieliczni, a od kiedy Les zjechał z szosy, nie dostrzegł ani jednego pojazdu. Wprost trudno było uwierzyć, że w zagonionym, zadymionym świecie uratowało się miejsce, gdzie spokój jeszcze nie został zmaćcony.

Zobaczywszy tubylca, Les zatrzymał samochód. Przyszło mu na myśl, że swoim niespodziewanym przyjazdem zrobi Kearsowi trochę kłopotu, warto by więc przynajmniej dowiedzieć się, gdzie tu można zjeść śniadanie.

Siwy staruszek ochoczo zerwał się z ławki przed domem, wkrótce jednak okazało się, że z tym szacownym obywatelem miasta skleroza nie obeszła się zbyt łagodnie.

- Coś zjeść?... U nas każdego... każdego... Do diabła, zapomniałem, jak się to mówi.

- Każdego poniedziałku?

- Nie, to nie to.

- Każdego wtorku, czwartku?

- Każdego durnia... - Staruszek machnął ręką. - I to też nie.

- Kretyna? - Les starał się pomóc.

- Każdego głodnego - o to mi chodziło. Każdego głodnego kierujemy do baru, o tam.

- Co pan mówi? To znaczy, że nie ma tu filii „Jesz w biegu”?

- A po cóż by wtedy te... no, jak je...

- Pierożki?

- Nie, zęby. Po co komu zęby, jeśli tylko łyka koncentraty?

Czego jak czego, ale zębów staruszkowi nie brakowało, i to, sądząc po kolorze, własnych.

Na rzuconą mimochodem przez Lesa uwagę, że zaniki pamięci są uleczalne, staruszek, który z własnej woli postanowił mu towarzyszyć w drodze do baru, zadął dumnie głowę:

- A ja się na nią wcale nie skarżę, na tę...

- Na pamięć? Na los, życie?

- Na żonę, się nie skarżę. Sześćdziesiąt lat temu niemal nie umarła od chemicznych lekarstw i od tego czasu my ani jednej tabletki... A co do mojej pamięci, to przecież jest doskonała. Ja, na przykład, nigdy nie zapominam tych... Jak one się nazywają?

- Słowa?

- Nie słowa a te... No, te, które biegają, skaczą, czytają w ogóle wszystko robią.

- Ludzi pan nie zapomina?

- Czasowników. Pamiętam wszystkie, co do jednego. Za to rzeczowniki mi czasami wypadają z głowy, ale ja się tym nie przejmuję.

Wnętrze restauracji harmonizowało doskonale zarówno z brakiem samochodów, jak i z niezmordowanym staruszką. Był to rzeczywiście bardzo stary zakład, nieledwie wykopaliska, o czym dumnie obwieszczala miedziana tabliczka na ścianie:

„Istnieje od 1909 r.”.

Potężne, przyjemne przez swą niewygodę krzesła z wysokimi oparciami, boazeria z ciemnego drewna, wiekowy elektryczny młynek do kawy, powolny, serdeczny, a nie tylko uważny kelner, a do tego jeszcze zaskakująco smaczne, choć niedrogie śniadanie.

Dziwne to było wrażenie jeść kartofle, których na drodze z pola na talerz nie spotkało nic, poza obraniem i ugotowaniem, czy też zupełnie świeże ogórki - żujesz kęs, a w nim, być może, elektrony jeszcze przechodzą z orbity na orbitę, tworzą się nowe molekuly zgodnie z wciąż jeszcze funkcjonującym, nieprawdopodobnie skomplikowanym programem genetycznym, zgodnie z biologicznymi prawami narodzin, wzrostu i śmierci.

Nasyciwszy pierwszy głód, Les chwilę jeszcze spędził w bezruchu, rozkoszując się ciszą. Spieszyć się nie było powodu - Setera Kears nie czeka, nie podejrzewa nawet, że za kwadrans stary znajomy zwali mu się na głowę.

Ich korespondencja rozpoczęła się dwanaście lat temu. Byli kolegami szkolnymi, dzielili się pierwszym papierosem, potem ich drogi rozeszły się. Dwadzieścia lat minęło od zerwania szkolnej przyjaźni, gdy niespodziewanie Les otrzymał list od Kearsa, Przez te lata Kears z dość bezbarwnego chłopca wyrósł na zdolnego elektronika, pracującego wciąż w tym samym zespole naukowym. Raz nawiązany kontakt rozwijał się coraz bardziej - Kears przysyłał swoje fotografie, zapisy głosu, składał regularne sprawozdania z wydarzeń rodzinnych, podróży, wakacji - miał swój własny domek letniskowy, żaglówkę, a nawet śmigłowiec. Każdy zaś z listów nieodmiennie kończył się serdecznym zaproszeniem do przyjazdu.

...ulica Różana, ulica Cienista - już od samego patrzenia na piętrowe i parterowe domki dosłownie serce rosło, tym bardziej że w każdym oknie skrzynki z kwiatami, a każdy domek w ogródku.

Prawdziwe uzdrowisko, i to ze stuprocentową wyleczalnością.

Les doszedł do skrzyżowania. Tu ulica Cienista łączyła się z tą, której szukał, z Bzową. Numer trzydziesty ósmy był na rogu, zatem czterdziesty powinien być po drugiej stronie.

Przeciął maleńki placyk i niepewnie zakręcił się w miejscu. Domu numer czterdzieści nie było - numeracja rozpoczynała się na rogu pięćdziesiątka. Na wszelki wypadek Les sprawdził dalszy fragment ulicy, aż do miejsca gdzie kończyła się ona na skrzyżowaniu z Aleja Lipowa, jednakże na próżno. Po drugiej stronie nie było czego szukać - tam były numery nieparzyste.

Powróciwszy z niczym do punktu wyjścia, Les wyciągnął z kieszeni ostatni list Kearsa i uważnie przestudiował adres zwrotny. Zgadzało się wszystko - miasto, ulica, nawet kod pocztowy na domu numer pięćdziesiąt odpowiadał podanemu na kopercie - brakowało tylko czterdziestych numerów. Na dobitkę ulica była stara, bez jakichkolwiek śladów przebudowy.

Rozejrzał się dookoła. Najłżejszy podmuch wiatru nie poruszał rosnących wśród bruku ulicy chwastów, na błękitnym niebie wisiał nieruchomo samotny obłok. Pod domem numer pięćdziesiąt przysiadł w kucki jakiś typ w starym kapeluszu i zakurzonym, wypłowiałym kombinezonie. Ręce oparł na kolanach, a bezmyślnie oczy patrzyły w przestrzeń, jak gdyby ich właściciel nie zmieniał swej pozy od dobrych paru lat.

Gdy Les skierował się ku niemu, zauważył, że mężczyzna ma nieprawdopodobnie szerokie usta - ich kąciki sięgały niemal skraju żuchwy.

- Czy mógłby mi pan powiedzieć, o ile nie sprawi to panu kłopotu, gdzie tutaj jest numer czterdziesty?

Minęła dobra minuta, zanim pytanie przedarło się przez mózg dziwnego osobnika do tego jego zakątka, gdzie ukrywała się nie całkiem jeszcze śpiąca resztką jego świadomości. Powoli typ w kapeluszu podniósł głowę, następnie zaś przesunął przepaloną i szerniałą cygarniczkę z jednego kąta ust w drugi - a nie była to bynajmniej krótka droga.

- Czterdziestego nie ma. Spalił się.

- Jak to spalił się? Kiedy?

- Będzie temu z dziesięć lat.

- Ależ to niemożliwe! O, proszę, tu mam list od przyjaciela - Les, teraz już mocno podenerwowany, ponownie wyciągnął list z kieszeni. - Może nawet go pan zna, nazywa się Setera Kears, fizyk. List wysłany w tym miesiącu, widzi pan, a tu wyraźny adres...

- Ma pan list od Kearsa?

- Od niego samego.

Mężczyzna wyjął cygarniczkę z ust i podniósł się. Jego spojrzenie nabrało bystrości i surowości.

- Niech pan pozwoli.. No, tak, to jego pismo. - Obrócił kopertę. - Adres też w porządku.

Zmierzył Lesa wzrokiem od stóp do głów.

- Proszę za mną.

Razem weszli na ganeczek domu numer pięćdziesiąt. Mężczyzna otworzył skrzypiące, mocno zniszczone drewniane drzwi, za którymi ukazały się inne, z polerowanego metalu. Wewnątrz,



w kwadratowym pomieszczeniu bez okien, siedział jakiś człowiek w mundurze wojskowego kroju i czytał książkę. Oznaczenia na jego galonach były bardzo oryginalne - same jedyńki i zera.

Wielkousty odezwał się:

- Ten człowiek przyjechał tu na osobiste zaproszenie Kearsa.

Mundurowy doczytał do końca strony, następnie wziął list i począł się weń wgłębiać. Książeczka, którą czytał, nosiła tytuł „Dlaczego nie jesteś miliarderem?”

- Dokumenty macie? Z odciskami palców.

Les wyjął swój identyfikator. Człowiek w mundurze leniwie podniósł się i podprowadził Lesa do ściany. Poruszył coś nogą i na wysokości ramienia otworzyła się ciemna szczelina.

- No, dawajcie rękę.

Chwyć Lesa za nadgarstek i wsunąć jego rękę w szczelinę. Uczuwszy łaskotanie palców, Les próbował wyrwać rękę ze szczeliny, człowiek w mundurze przytrzymał ją jednak, uśmiechając się jednocześnie.

- Spokojnie, spokojnie - przecież to chyba nie pierwszy raz, co?

Łaskotanie ustało i Les powrócił za barierkę. Człowiek z dziwnymi galonami uniósł słuchawkę telefonu.

- Dajcie dwunastego... Tak, to ja. A dwunasty?... Poszedł napełnić zapalniczkę?... Nigdy go nie ma na miejscu. Słuchaj, mam tu taką sprawę. Pojawił się jakiś typek z listem od Kearsa... Tak, od niego samego. I to z zaproszeniem. Człowiek się zgadza - już sprawdzony... Poczekać? A ile można czekać - napełni zapalniczkę, to jeszcze na obiad pójdzie... No, dobra.

Położył słuchawkę i obrócił się do Lesa. Chwilę pomyślał, po czym sięgnął do czegoś pod stołem. W ścianie otworzyły się drzwi, za którymi ukazała się kabina windy.

- Szósty poziom. Pokój sześćset czterdziesty albo czterdzieści jeden. W razie czego zapytacie.

Wszystko to razem wzięte oszołomiło Lesa do tego stopnia, że zupełnie automatycznie nacisnął w windzie guzik i zjechał na dół. Ocknął się dopiero w przestronnej, jasno oświetlonej sali wypełnionej tłumem ludzi.

- A to dranie, łajdaki. Żeby ich jasna cholera! - Wymamrotał przez zęby, dając upust dławiącej go złości.

Wychodziło na to, że stare domki w kwiatkach, armatka na placu, restauracja z żywymi ogórkami i cała reszta - to jedno wielkie kłamstwo. Całe miasteczko jedynie maskowało to samo wojskowo-naukowo-przemysłowe świństwo co i gdziekolwiek indziej. Na moment Lesowi zamarło serce, natychmiast jednak poczuł metaliczny smak w ustach i powróciła mu jasność umysłu. No cóż, inaczej być nie mogło, świat wszędzie jest taki sam i trzeba go przyjmować, jakim jest.

Dziewczyna w aluminiowa połyskujących spodniach wskazała mu jeden z korytarzy, promieniście rozchodzących się z holu. Les szedł przed siebie, wypatrując właściwego numeru. Sześćset trzydzieści sześć, trzydzieści osiem... no, jest i czterdzieści.

Zastukał. Odpowiedzi nie było, mimo to jednak nacisnął klamkę i wszedł. Pomieszczenie wyglądało na przedpokój, bogato umeblowany indyjskimi sprzętami. W głąb wiodło dwoje drzwi. Les wybrał na chybił-trafił jedno z nich i ponownie zastukał.

- Proszę wejść! - Odezwał się głos ze środka.

Głos Kearsa, dobrze Lesowi znany z licznych taśm.

Les wszedł, zamknął drzwi i spojrzał w głąb pokoju. Za biurkiem w wysokim fotelu siedział Setera Kears i coś pisał.

Z jego ramion wyrastały dwie głowy.

Przez chwilę przypatrywali się sobie nawzajem - Les dwojgiem oczu, Kears - czworgiem. Nagle Kears wydał cichy okrzyk - zerwał się na równe nogi i przekręcił wyłącznik na ścianie. W zapadłych nagle ciemnościach dały się słyszeć odgłosy jakiejś krzątanimy, po czym głos Kearsa - słaby i drżący - zadał pytanie:

- Kim pan jest? I co tu się w ogóle dzieje?

Les odkaslnął, czując, że zniecka zaschło mu w gardle.

- Les.

- Co za Les?

- Twój szkolny przyjaciel. Pisywałeś do mnie przecież.

- Aha.

Znów szcęknął wyłącznik. Kears stał pośrodku pokoju, usta mu drżały. Druga głowa znikła, a może jej wcale nie było - Les nie był w stanie połapać się w tym. Cały pokój zalany był jakimś mineralnym światłem, odbijającym się po wielokroć w niezliczonych zwierciadłach.

- Kto cię tu wpuścił?

- Mnie?

- No pewnie, że nie mnie.

- Miałem twój list. Pokazałem, a oni tylko sprawdzili twój podpis i moje linie papilarne, i to wszystko.

- Ale jak w ogóle trafiłeś do tego miasta?

- No wiesz, przecież sam mnie zapraszałeś i żeby to raz...

- O Boże! - Kears głęboko westchnął. - Ale numer! Do głowy mi nie przyszło, że ty mógłbyś naprawdę przyjechać.

- To po co żeś zapraszał?

- Jeżeli przypadkowo spotkany człowiek powie ci: „Miło mi było pana poznać”, nie bierzesz chyba tego dosłownie... Zapytaj jeszcze, czemu w ogóle zacząłem korespondować z tobą. Zrozumiałbyś, jakby ci przyszło posiedzieć pod ziemią prawie piętnaście lat.

- Ale pisałeś przecież, że wciąż jeździsz na jakieś kolokwia, zjazdy...

- Czego to ja nie pisałem... Dokąd mógłbym pojechać w takiej postaci?

- W tej postaci?... To znaczy, że naprawdę... - Les zająknął się, nie wiedząc, jakiego użyć słowa. - Że masz dwie głowy?

- Oczywiście. Teraz tej drugiej nie widać, bo tu jest specjalne oświetlenie i system zwierciadeł... Po czymś takim już stąd nie wypuszczą, kompletna tajność. To, żeś się tu dostał, to czysty przypadek.

- Ach, tak...

- No dobrze - powiedział Kears. - Ale skoro już tu jesteś, to może byś usiadł.

Usiedli obaj - gospodarz na fotelu, gość na okrągłym taborecie stojącym przed biurkiem. Les rozejrzał się wokół. Pokój był duży i mocno zagracony. Prócz luster było tu pełno różnych szaf i tapczanów, a w głębi meblościanka z zawieszoną na niej kopią „Ikara” Breughla. Luksusowy fortepian sąsiadował ze zwykłą zieloną szkolną tablicą, telewizorem „Fuji” i precyzyjną tokarką. Były również przyrządy gimnastyczne: rek, trapez, a za przezroczystą przegrodą - symulator kortu i bieżni; nie brakowało nawet sztalug...

Kears zabębnił palcami po blacie.

- Za tamtymi drzwiami jest jeszcze ogród zimowy i basen. No, a jak u ciebie?

- Jakoś leci. Tak, jak ci pisałem - żyjemy. Samochodu co rok nie zmieniamy, to prawda, ale jakoś dajemy sobie radę. - Les zawahał się. - Chociaż z pieniędzmi coraz gorzej...

-A jak Rona? Bardzo tęskni za synami, od kiedy poszli do szkoły?

- Przyzwyczała się...

Zapadło milczenie. Les skulił się na swym taborecie - jeżeli taki człowiek jak Kears siedzi niemalże pod kluczem, oni z Roną nie mają nawet co marzyć o samodzielności.

Milczenie przeciągało się.

- Powiedz mi, skąd ci się wzięła ta druga głowa? Z własnej woli?

- Coś ty, kto by tego chciał? Pracowaliśmy tutaj nad regeneracją organów. Nawet mnie, choć przecież nie jestem biologiem, nie ominęła praca z bioplazmą. Skonstruowałem taki skalpel elektronowy i jakoś tak wyszło, że sam się nim poraniłem... W ogóle tutaj u nas istniała polka z różnymi promieniami. Jednym słowem, wyrosła mi jeszcze jedna głowa. Z początku uważano to nawet za niezły eksperyment, były zresztą jeszcze jakieś szanse powrotu do normalnego stanu, a potem ni z tego, ni z owego nagle zrobiło się za późno i koniec.

- Ale dlaczego?

Kears nie odpowiedział.

- No dobrze, a jak ty chcesz pomyśleć - zaczął znów Les - to znaczy, kiedy myślisz - jak ty to robisz, na dwie głowy, czy jak? Tak, jak na fortepianie, na dwie, a raczej na cztery ręce?

- Dlaczego na dwie... - gospodarz zniecierpliwiony urwał. Jego ręce uniosły się w stronę przetłaczniaka, po czym niechętnie, z wysiłkiem, opadły z powrotem na kolana. - Przestań! Uspokój się! - Ręce raz jeszcze wykonały ten sam ruch. - Wybacz, Les, to nie do ciebie... O czym my... aha, nie, oczywiście że nie na dwie głowy. Każdy z nas myśli sam za siebie.

- Co za „każdy”? - Les poczuł, jak mu cierpnie skóra. - To przecież też twoja głowa.

- Nie całkiem, ściśle mówiąc, głowa nie może być ani „twoją”, ani „moją”. Ona jest „swoja”.

- Jak to? O tu, na przykład, jest moja głowa.

- A gdzie jesteś ten „ty”, który by istniał niezależnie od niej? Właśnie dlatego o głowie nie sposób powiedzieć „moja”.

- Nie rozumiem.

- Tu nie ma nic do rozumienia. Bez głowy nie ma osobowości. Tam, gdzie głowa, a raczej mózg, tam byt i świadomość... Czy ty sobie bodaj w przybliżeniu wyobrażasz, co to takiego twoje własne „ja”, twoja osobowość?

Ten temat Lesowi był szczególnie bliski.

- No, chyba mózg, ciało przecież można zmienić w razie potrzeby.

- To jeszcze nie cała prawda. Z naszego punktu widzenia mózg jest tylko pomieszczeniem dla jaźni - jeżeli jest on pusty, nie ma również i osobowości. Zapełnić zaś może go jedynie to, co dociera do nas z otaczającego nas świata. Pamiętasz chyba ze szkoły, że gdy dziecko przychodzi na świat, jego mózg to tabula rasa - pusta - niewypełniona struktura. Dopiero w trakcie życia zaczyna docierać doń, przez organy zmysłów, informacja o świecie. Zwróć uwagę, nie środowisko, a wiadomości o nim w postaci sygnałów elektromechanicznych, pozostawiają po sobie ślady w komórkach nerwowych. Ślady te stopniowo składają się w pojęcia, a te w obrazy, skojarzenia i myśli. Ogólnie rzecz biorąc, nasza jaźń jest sumą tego, czego doświadczyły nasze organy zmysłów.

- Jak to? I to wszystko?

- A czego ci więcej trzeba?

- Żadnej tajemnicy? Iskry bożej, której należy strzec przed utratą?... Czyżby to wszystko, o czym ludzie myślą, było jedynie symbolicznym zapisem tej samej rzeczywistości?

- Tajemnica zawarta jest w samym mechanizmie życia w istocie logicznego myślenia, ale trudno mi powiedzieć, czy jest w niej cokolwiek nadprzyrodzonego. Jaźń jednak nie ma w sobie nic tajemniczego - po prostu świat zewnętrzny przetworzony w obrazy. Co prawda, u każdego człowieka w nieco inny sposób, zgodnie z odziedziczonym przezeń kodem genetycznym, ale to i wszystko. Dlatego właśnie Roland powiada: „Człowiek istnieje poprzez swoją historię”. Rozumieć to należałoby

w ten sposób, że ciąg obrazów, tworzących ludzką jaźń, powstaje bezustannie, dzień za dniem, historycznie.

- Cóż to znowu za Roland?

- Guilelmo Roland, filozof peruwiański.

- To ty i za filozofię żeś się złapał? - Les uświadomił sobie naraz, że Kears go drażni. Siedzi sobie taki tutaj spokojnie, urządził się wygodnie i żadne straty mu nie grożą. - Niech cię diabli, jakiś mądry! A ja wciąż taki sam dureń jak w szkole - nawet zrozumieć nie mogę, z czegoś ty stał się taki genialny. Dieta jakaś czy co?

- Dieta nie ma tu nic do rzeczy.

- A co ma?... Fizykę skończyłeś z wielkim trudem, a i w twojej firmie trzymali cię tylko z litości.

Gospodarz wstał i przeszedł parę kroków po pokoju, odbijając się w lustrach. Na moment pojawiła się i znikła druga głowa.

- Zrozum, mówiąc prawdę, to ja - to nie całkiem ja. W każdym razie nie ten Setera Kears, który z tobą chodził do szkoły.

- A kto w takim razie?

- Pmois.

- Pmois? - Les szarpnął się do tyłu i mało nie upadł, bowiem taboret nie miał oparcia. - Sprytnie. Przeszczep mózgu, co?

- Aha. Nie mogę sobie przypomnieć, czyś ty go, to znaczy mnie, Pmoisa, kiedykolwiek spotkał... Ależ tak, to było chyba u tej Lin LaCombo, w jej domu. Demonstrowałem tam, jeszcze jako Pmois, materializację Beethovena. Pracowałem wtedy w koncernie „Sztuka dla wszystkich”.

- Pamiętam - powiedział Les. - Mój Boże, Jaki ja wtedy Jeszcze byłem młody i naiwny! Wierzyłem we wszystko. Od tamtej pory jakby tysiąc lat upłynęło. - Westchnął. - Na materializację przychodziłem razem z Cheesonem. O ile pamiętam, Pmois to był taki barczysty, powściągliwy mężczyzna. To znaczy, że teraz rozmawiam właśnie z nim?

- Chwileczkę... Widzisz. Setera Kears ukończył fizykę ledwo-ledwo. Potem klepał biedę w swojej firmie, ale ani oni nie byli z niego zadowoleni, ani jemu praca nie dawała satysfakcji. Oczywiście, wina rodziców. Pamiętasz, jaka była wtedy moda - człowiek nic nie był wart bez tytułu, la w tym czasie pracowałem w takiej jednej firmie krawieckiej jako krojczy. Pewnego dnia przychodzi do nas Setera Kears, uczoney, i zamawia sobie garnitur. Biorę z niego miarę, a on mi sam pomaga, doradza, a tak zręcznie mu to idzie, że dziw - wprost urodzony krawiec.

Spotkaliśmy się raz, potem jeszcze jeden - przy każdym spotkaniu widzę coraz wyraźniej, że on wprost ożywa, gdy ma w rękach szpilki czy nożyczki, że z żalem wraca do swego laboratorium. No, a ja, z drugiej strony, miałem takie hobby - elektronikę. Czytałem, co w ręce wpadło, zbierałem schematy, ale cóż - wykształcenie średnie, i to nawet niepełne...

- No, no, mów dalej - zachęcił Les.

- Zaczęliśmy rozmyślać. Jemu po prostu nie wypadało przekwalifikować się z fizyka-teoretyka na krawca - rodzina by go co najmniej wyklęła, z drugiej zaś strony mnie bez dyplomu nie przyjęliby do instytutu, choćbym był sam Faradayem. Zamiana mózgow była jedynym sensownym wyjściem. Opowiedzieliśmy sobie nawzajem nasze dotychczasowe historie i na stół operacyjny... W elektronice powiodło mi się doskonale: dziesiątki patentów, doktorat, dopiero potem ta historia z drugą głową... A i Setera, jako Pmois, zasłynął w swoim fachu.

Les kiwnął głową.

- Jasne. Sam noszę spodnie od niego.

Wyraźnie poruszony, Les również wstał i zrobił parę kroków.

- Słuchaj, szczerść za szczerść - ja też nie jestem Les.

- Poważnie? A kto?

- Scrount, mąż Lin LaCombe... Ale to całkiem inna historia, sprawy sercowe, rozumiesz... Les, czyli ja... to znaczy nie, właściwie on... Jednym słowem, Les beznadziejnie zakochał się w Lin, w mojej Lin, która o mało co nie doprowadziła mnie do zawału - pamiętasz chyba, jaka ona była postrzelona? Ciągłe się w czymś doskonaliła - a to w sporcie, a to w wyższej matematyce. I to żeby sama, ale i mnie spokoju nie dawała, tak że choć z początku byłem zakochany, potem już tylko czekałem na okazję, by się od niej uwolnić. A tu w sam raz napatoczył się Les, który oczu od niej oderwać nie mógł. Stanęła więc między nami umowa - Les nawet się nie namyślał, tak się palił do Lin. Rozmawialiśmy w oranżerii i gdy Les zrozumiał, o co chodzi, chwycił rosnącą obok palmę i wyrwał ją z korzeniami. Była tylko jedna mała trudność: Les był biedny jak mysz kościelna. Dogadaliśmy się zatem, że jak tylko wejdzie on w skórę Scrounta, natychmiast przeleje osiemdziesiąt procent jego majątku na konto byłego Lesa.

- I co? - zapytał słuchający nadzwyczaj uważnie gospodarz. - Oszukał cię i dlatego teraz tak źle ci się wiedzie?

- Nic podobnego, Les to porządny człowiek. Po prostu gdy ja ze Scrounta stałem się Lesem, to nawet z tymi pieniędzmi nic mi się nie udawało. Do interesów potrzebny jest nie tylko kapitał, ale i znajomości.

- Cie-ka-we. - Człowiek, który nazywał siebie do niedawna Kearssem, przespacerował się po wielkim dywanie, zaścielającym środek pokoju, po czym stanął przed przyjezdnym i popatrzył mu w oczy.

- Słuchaj, ty na pewno jesteś Scrountem? Ani trochę nie oszukujesz?

- A co? - gość zaczerwienił się.

- A to, że gdy Pmois wymieniał się z Kearssem, sam był już wymieniony i to właśnie ze Scrountem... Czyżby tego twojego Lesa lekarze nie uprzedzali, że Scrount już przechodził taką operację?

- Tak, rzeczywiście. - Przyjezdny opadł na fotel. - Mogliśmy się w tym jednak połapać, gdybyśmy wiedzieli, gdzie w tym czasie był pierwotny Scrount.

- W byłym Pmoisie, jeżeli nie dalej.

- O, cholera! - Gość chwycił się za głowę. - Od tego wszystkiego zidociec można. Ja już nic nie rozumiem - to kim ja jestem w takim razie?

- A ty?

- Nie wiem.

- Zaraz wyjaśnimy. Tu wszystko zależy od czasu. Jeżeli Pmois w istocie...

- Czekaj no! - Gość wbił ręce w kieszenie i zapatrzył się w sufit. - To nie z tej strony. Mówiąc całkiem szczerze, na samym początku to ja byłem Seterą Kearssem, to o mnie opowiadałeś tę całą krawiecką historyjkę. Potem moja świadomość przeniosła się w ciało Pmoisa...

- Ciało tutaj nie płacze - kto w czym i tak dalej - bo do niczego nie dojdziemy. Mów lepiej o mózgach.

- Dobrze. A więc ja, Setera Kears, stałem się Scrountem, który będąc już podmieniony, przeniósł się w ciebie... Nie, to nie tak.

- Mówiłem ci, żebyś szedł śladem mózgów, a nie ciała - tak będzie prościej... a może i nigdzie iść nie potrzeba? Czyj mózg masz w głowie - Setery Kearsa czy kogoś innego? Rozpocząłeś życie przecież jako Kears.

- No pewnie. - Przyjezdny wzruszył ramionami. - Co do tego nigdy nie miałem wątpliwości.

- Doskonale, a zatem...

- Po to tu i przyjechałem, żeby sprawdzić, kto teraz włada moim ciałem. Listy podpisywał Setera Kears, a my oboje z żoną łamaliśmy sobie głowy, kto też to może być. Czy to być może, że ty - to ja?

- A ja to ty. Nawiasem mówiąc, i ja rozpocząłem korespondencję jedynie po to, żeby sprawdzić, co to za typ zagnieździł się w byłym mnie. No i jak ci w moim ciele? Nie ugniata?

- Dziękuję, nienajgorzej. Zżyłem się z nim. - Przyjezdny zamyślił się, potem potrząsnął głową. - Boże jedyny, do czego doszliśmy! Nie wiemy już nawet, kto kim jest. Ja sam przecież trzy razy się przenosiłem. - W Pmoisa, w Scrounta, a potem w ciebie, kiedy ty już sam się wyniosłeś. A wszędzie od nowa przywykać, przestraszać się, poznawać nowych ludzi i ciągle nie to - może w innej skórze będzie nam wygodniej? Wciąż skaczemy na oślep, jak pchły - nic w nas ludzkiego...

Wiszący na suficie trapez zakołysał się i w ślad za tym zza ściany dobiegł odległy, przytłumiony huk.

- Detonacja - wyjaśnił gospodarz. - Rozszerzają podziemne terytorium. Z miastem została zawarta umowa: możemy robić pod ziemią, co się nam żywnie podoba, byleby nie zmieniać niczego na wierzchu. A w ogóle to dość szczególne miasteczko i naprawdę stare. Jego mieszkańcy wieczorami zbierają się, by potańczyć i pośpiewać. Za to całymi dniami miasto jest puste - ludzie pracują - jedni na kolei, inni gdzieś indziej; dopiero jak wrócą z pracy... Tu wszyscy są konserwatystami. Dbają o przyrodę, nie dopuszczają technologii. Skądinąd wiadomo, że takich miast jest więcej i że kontaktują się ze sobą - cały ruch społeczny.

- No, ja chyba pojedę - odezwał się gość. Rozejrzał się raz jeszcze. - Ładnie tu i przytulnie. Słuchaj, Les, jakież ty wytrzymał przy zdrowych zmysłach tyle lat? Też na smyczy, co?

- Na smyczy?

- No, na uwięzi - to wszystko jedno. Podłączony do maszyny.

- Jakiej maszyny?

- Zwyczajnej. Żeby nie wpadać w depresję.

- Nic nie słyszałem. Chociaż... czy to te... stimceivery, tak? Sprzężenie zwrotne?

- Oczywiście. Można się tak odzwyczaić od picia, od palenia. W określone miejsce w mózgu wszczepiają ci mikronadajnik. Zachce ci się wypić, to wówczas aktywność neuronów w tym właśnie miejscu wzrasta i powoduje wysłanie sygnału do komputera, a ten reaguje takim sygnałem, że ci się mdło robi na sam widok pełnego kieliszka... Można zrobić nawet i tak: mąż zaczyna zdradzać żonę, wówczas ona idzie do nielegalnego lekarza, a ten dysponuje całą organizacją, ich ludzie łapią więc takiego faceta, usypiają, wszczepiają elektrody i puszczają potem, jak się blizny zagoją. I gotowe.

- Co gotowe?

- Wszystko. Od tej chwili nawet nie zerknie na inną... Albo tacy gangsterzy, mafia. Im teraz już nie rabunek w głowie, wszyscy zostali chirurgami. Za grube pieniądze łapią ludzi i wszczepiają im elektrody, a programy dostarczają zamawiający. Zdarzyła się już nawet taka historia, że człowiek, który dogadał się z szajką, sam został schwytany, wymazano mu wszystko z pamięci i podłączono do takiego programu, że sam przelał na nich wszystkie swoje pieniądze.

- Bzdury.

- A to dlaczego? - Gość podniósł się. - Po co daleko szukać, tu masz najlepszy przykład. Cztery trójkanałowe stimceivery. Teraz już rzadko spotyka się człowieka bez elektrod. Niektórzy są tak nafaszerowani, że nie wiadomo czego więcej - metalu czy szarych komórek. Każdy krok kontrolowany przez komputer.

- Nieważne, ile ich jest, informację i tak człowiek otrzymuje poprzez organy zmysłów z otaczającego go środowiska. Osobowość kształtowana jest przez rzeczywistość i nic więcej.

- Ładna mi rzeczywistość. W dzisiejszych czasach nawet i ona nie jest prawdziwa. - Wzburzony gość zaczął chodzić po pokoju.

- Telewizja, książki, radio, reklama, gazety, kino - oto i ta cała rzeczywistość, przeżuta papka, wciskana do gardła. Twoje naprawdę własne przeżycia to zaledwie znikoma część codziennych wrażeń. I do tego cóż to za przeżycia - ot, wyjdiesz z mieszkania, przywitasz się z sąsiadem, wsiądziesz do metra. Jak w takich warunkach można jeszcze twierdzić, że istnieje niezależna osobowość? Pozostała jedynie cząsteczką ogólnej świadomości, podobna jak dwie krople wody do innych cząsteczek... Komuś to musi być jednak potrzebne, by wszyscy myśleli tylko o zyskach. O, im by wszczepić elektrody i taki program puścić na komputer, że z miejsca by się uspokoili. Tyle, że nie da rady. - Gość uśmiechnął się. - Za stalowymi ścianami mieszkają, z obcymi rozmawiają tylko przez półprzezroczyste szkło albo przez telewizję. Opowiadał mi mój przyjaciel, że był na takiej audycji. Przychodzi, a tu w pustej sali jeden



fotel i nic więcej. Usiadł, poczekał, wreszcie włączył się ekran w rogu - twarz w zbliżeniu, proszę możesz rozmawiać... Gdy jedziesz autostradą, po drodze pełno ślepych murów, a za nimi - albo bloki EMC, trzymających ludzi na smyczy, albo pałace takich kacyków...

Przyjezdny zamilkł na chwilę, obcierając dłonią poczerwieniałą twarz.

- Ale się rozgadałem, cały wykład... No cóż, żegnaj... Rozumiesz, jechałem tu w nadziei, że choć jeden z naszej szkoły żyje po ludzku - cały czas podejrzewałem, że w moim byłym ciele musi być ktoś z naszych. W domu często rozmawialiśmy o tobie, to znaczy o Kearsie. Marzyło nam się, że bodaj ty jesteś szczęśliwy, pracujesz, podróżujesz. Dzieciom stawialiśmy cię za przykład, a ty, okazuje się, sam piętnaście lat w piwnicy siedzisz i o świetle bożym nie wiesz. Jeżeli ty w takim położeniu, to nam z Roną nawet i marzyć nie ma co o poprawie losu. Jedyne wyjście to zebrać, co nam zostało, i oddać się w łapy jakiegoś tam „Zaufania”.

Gość wyjął z kieszeni żółtą karteczkę i podał ją gospodarzowi.

- O, popatrz.

Gospodarz zerknął na kartkę i machnął lekceważąco ręką.

- Wiem. Nam takie też przysyłają. Ale ty się tym nie przejmuj, pluń na to. Moim zdaniem, u nas wkrótce zajdą duże zmiany.

- I cóż może się zmienić? Nie wiem, jak to wygląda w reszcie świata, u nas jednak doszło do tego, że zamiast przeżywania najlepiej przystosowanych, jak u Darwina, zaczęło się przystosowywanie tych, co przeżyli. Byłem na przykład w zeszłym roku u swego przyjaciela, u Cheesona. Mieszka on na pięćdziesiątym piętrze, tuż obok lotniska. Hałas u niego wprost potworny, bo te... grawitacyjne nabierają prędkości dosłownie przed samymi oknami - a on nawet okiem nie mrugnie. Potem wyjaśniło się, że wszyscy mieszkańcy tej dzielnicy przeszli specjalne operacje - obniżono im... tfu, na odwrót, podniesiono próg wrażliwości na dźwięki. Rozumiesz, co to znaczy? Nie technika dla człowieka, a człowiek dla techniki. I co na to poradzisz? W pojedynkę nic przecież nie zdziałasz.

- No, no, nie przesadzaj. - Gospodarz również podniósł się z miejsca. - Trudno mi to wyjaśnić dokładnie, czuję jednak, że wkrótce wiele się odmieni... No, choćby ty, na przykład, nie jesteś zbyt zadowolony z życia, prawda? Nie wszystko ci się podoba?

- Oczywiście. A z czego tu być zadowolonym?

- Sam przecież jednak powiedziałeś, że twoja świadomość to jedynie cząstką świadomości społecznej, a w takim razie to społeczeństwo właśnie jest niezadowolone. I tego nie odmieni żadna tam telewizja, reklama czy gazety, twierdząc, że wszystko jest w najlepszym porządku, że wkraczamy już w złoty wiek. Niech sobie krzyczą ile wlezie - na ciebie to i tak nie ma żadnego wpływu. A co do nastroju - twój chyba teraz nie jest najweselszy, co?

- No pewnie. - Gość zagryzł wargi i odwrócił oczy. - Nie wiem, czy to dusza, czy tylko zlepek symboli, coś jednak cierpi we mnie.

- No proszę, a sam mówiłeś, żeś na smyczy i nastrój zawsze musisz mieć dobry. Coś tu nie gra. -  
Gospodarz poklepał gościa po ramieniu. - Coś mi się wydaje, że się jeszcze spotkamy. Trzymaj się,  
stary!

\*

- Czy panu coś się stało?

Setera Kears, prawdziwy Setera Kears, uniósł głowę. Czerwonawa mgła, która wypełzała nie wiedzieć  
skąd i przesłoniła mu oczy, rozplywała się z wolna. Stał w korytarzu, w pobliżu wielkiego holu.  
Trzymająca go pod rękę dziewczyna w srebrzystych spodniach patrzyła nań badawczo błękitnymi  
oczami spod czarnych brwi.

- Musiał pan przeżyć silny wstrząs tam, u Kearsa, prawda? Już pięć minut stoi pan tu pod ścianą.

- Pięć minut?

- A tak. Mogę panu w czymś pomóc?

- N-nie, proszę się o mnie nie martwić.

- Ależ pan jest zupełnie zielony. Atak serca?

- Sam nie wiem. - Odetchnął głęboko, powoli wypuszczając powietrze. Mgła przed oczami ustąpiła  
niemal całkowicie. Dziewczyna miała w sobie coś, co skłaniało do szczerości. - Nigdy nie przytrafiło mi  
się nic takiego, w zasadzie jestem zdrowy jak koń. Nie wiem... Nagle całkiem odechciało mi się żyć,  
nic, tylko jakaś straszna rozpacz.

Mówiąc, Kears ze zdziwieniem odkrywał, że rzeczywiście to, co zdarzyło się z nim w ciągu ostatnich  
paru minut, było dlań zupełnie niezrozumiałe. Od Lesa wyszedł przecież na swoich nogach -  
w poczuciu całkowitej bezradności co prawda - o własnych również siłach szedł korytarzem, co stało  
się jednak później... Tak, to chyba serce.

- Przydałoby się panu coś na wzmocnienie. - Głos dziewczyny z trudem przebijał się przez bezustanny  
gwar przelewających się wokół nich tłumów ludzi. - Zapraszam pana na kawę.

- Ależ nie trzeba...

- Idziemy. Wygląda pan, jakby miał pan za chwilę popełnić samobójstwo.

Dopiero na wąskich schodkach, kiedy pozostawili już za sobą tłoczny hol, dziewczyna obróciła ku  
niemu twarz.

- A ja właściwie dotąd nie wiem, skąd się pan wziął u Kearsa?

- To mój dawny kolega, jeszcze ze szkolnych czasów. Długo zbierałem się, żeby go odwiedzić, wreszcie  
przyjechałem, a tu masz, jaka historia - po prostu w głowie się nie mieści.

- Niech pan się nie gniewa, że pytam tak obcesowo, ale czy to można wiedzieć, czy z pana  
prypadkiem nie jest szyszka nasłana z góry, żeby nas kontrolować? Chociaż po prawdzie to pan na  
takiego nawet nie wygląda.

- Oczywiście, bo i skądże mnie do nich?

- No, to w porządku. Tędy, proszę. Wchodzimy teraz do strefy wewnętrznej, do szefostwa. W zasadzie wstęp tutaj nawet mnie jest zabroniony, ale o tej porze w bufecie powinno być całkiem pusto, a kawa jest tu znacznie lepsza niż gdziekolwiek indziej.

Wydostali się z plątaniny korytarzy i weszli do komfortowo urządzonego bufetu, gdzie prócz barmana za kontuarem nie było żywej duszy. Barman powitał dziewczynę szerokim uśmiechem.

- Cześć, Niol! Jak leci?

- Cześć! Daj nam dwie kawy, ale te specjalne, wiesz, i dwie kanapki.

Usiedli przy stoliku. Dziewczyna wyciągnęła z torebki lusterko i zaczęła poprawiać sobie makijaż, po chwili jednak przerwała i wychyliwszy się daleko do przodu wyjęła poprzeczkę z oparcia krzesła, na którym siedział Kears. Następnie uniosła poprzeczkę, z której zwisał cienki przewód, do ust i głośno zacmokała, widząc zaś szeroko rozwarte w zdumieniu oczy Kearsa wyjaśniła swobodnym tonem:

- Aparat podsłuchowy. Tutaj tego na kopy, a pod sufitem kamery telewizyjne.

Z aparatu dobiegł mocno zniekształcony, metaliczny głos:

- Kto tam?... To ty, Niol?

- Aha. Witaj, Sang! Jak tam u was, wasz geniusz nie kręci się gdzieś w pobliżu?

- Nie, pisze sprawozdanie. Kompletny spokój.

- To doskonale. Będę dziś w sali gimnastycznej, wpadnij tam, dobrze?

- O.K. Kto tam jest z tobą?

- Kolega szkolny Setery Kearsa. Zaprosiłam go na kawę.

Dziewczyna umieściła poprzeczkę z powrotem na miejscu.

- Ich szef to straszny tępak - wszystkie te rytuały bierze na serio, ale jego pracownicy to przecież normalni ludzie, jak my, i dlatego też ten cały system podsłuchowy to jedna wielka lipa. - Przerwała na chwilę, widocznie o czymś rozmyślając. - A wie pan, że nie tylko panu przytrafił się taki wypadek po wizycie u Kearsa? i to nawet według tego samego schematu: z początku żadnych oznak, a potem nagły atak serca albo głęboka depresja. Był tu taki jeden chłopiec - Prooze, wie pan, syn tego znanego Prooze'a, fabrykanta mebli wodnych - więc właśnie ten chłopak po wizycie u Kearsa nawet minuty nie wytrzymał, zemdlął tui za drzwiami.

Pojawił się barman z kawą. Setera Kears wypił tyk, potem drugi. Serce jak gdyby uspokoiło się. Żeby nie dopuścić do zakończenia przerwanej rozmowy, zadał pytanie:

- Syn Prooze'a, takiego bogacza? Czyżby on tu pracował?

- On nigdzie nie pracuje, mówiłam panu przecież, że to chłopiec. Uciekł od ojca i włączy się z gitarą. Nocuje gdzie popadnie. Rozumie pan, u tych na górze wieczne napięcie, konkurencja. W końcu albo sami tego nie wytrzymują i rzucają wszystko, albo ich własne dzieci obracają się do nich plecami,

- Ale ojciec mógł przecież wziąć go na smycz?

- Po pierwsze, nie każdy ojciec zdecyduje się faszerować własne dziecko metalem, po drugie zaś chłopiec uprzedził, że jeśli odkryje u siebie coś w mózgu albo w niewytłumaczalny sposób wypadnie mu parę dni z pamięci, z miejsca popełni samobójstwo. Teraz to bardzo częste - starsze pokolenie dźwignęło się do góry nie rachując ofiar, a młodszej generacji ani to potrzebne, ani jej nawet nie interesuje - no cóż, czasy się zmieniają.

Nawet teraz, siedząc spokojnie przy stoliku, rozmówczyni Kearsa sprawiała wrażenie osoby rzeczowej i pewnej siebie.

- Ten Prooze-junior przychodzi tu do nas w odwiedziny do Parta.

- Part? Kto to taki?

- No, widział pan przecież drugą głowę Kearsa - to właśnie Part.

- Zaraz, chwileczkę... Czyżby to nie była jego głowa? A ja myślałem, że on tak zmądrzał ostatnio, bo pracuje na dwie głowy.

- Co też pan! - Dziewczyna wzruszyła ramionami. - Gdyby tak było, sytuacja byłaby znacznie mniej skomplikowana. Niestety kombinacja „dwie głowy, jedno ciało” to nie ciało z dwiema głowami, a raczej dwie głowy o wspólnym ciele.

- Ale co w takim razie z osobowością? Przecież tworzy ją podobno środowisko, a to dla obu głów jest jednakowe.

- Ależ skąd! Kears urodził się, tak jak wszyscy, dzieciństwo też miał normalne - sam pan o tym najlepiej wie, skoro razem chodziliście do szkoły, świadomość Parta zaś narodziła się i kształtowała tu u nas, pod ziemią, w laboratorium. Zasób doświadczeń u każdego z nich jest całkowicie odmienny, tworzą więc dwie zupełnie odrębne osobowości... Pan widocznie nie zrozumiał istoty tej sprawy; a może w ogóle o tym nie rozmawialiście? Cała trudność właśnie w tym, że dwie osobowości znajdują się w jednym ciele, muszą więc posługiwać się nim kolejno, na zmianę. Gdy jeden kontroluje ciało - drugi wyłącza się: śpi lub rozmyśla... Co prawda, mogą czytać tę samą książkę jednocześnie, ale tylko każdy dla siebie.

- Matko Przenajświętsza, to się już w głowie nie mieści... To znaczy, że jest to całkiem oddzielna, świadoma istota?

- Tak, a na dodatek rosnąca, rozwijająca się. Nazwali go Partem, bo przyszedł na świat w pewnym sensie partenogenetycznie. Teraz to już czternastoletni wyrostek, rozwijający się mniej więcej normalnie - umysłowo, oczywiście. Na samym początku jednak Kearsowi było z nim bardzo trudno - Part cały czas starał się zawładnąć kończynami, a wie pan przecież, jak żywotne są małe dzieci, wiercą się bez przerwy. Dopiero gdy nieco zmądrzał, pojął, że musi dzielić jedno ciało z ojcem.

- Z ojcem?... - Nagle powróciła duszność, z kątów zaczęła wypełzać czerwona mgła.

- Jasne. W pewien sposób Kears zastępuje mu ojca... Zresztą stara się dać mu jak najwięcej - kino, książki, telewizja. Chłopak maluje, zna dwa obce języki, uprawia sporty - widział pan ten sprzęt gimnastyczny, prawda? Dzięki tym jego zainteresowaniom i Kearsowi łatwiej było tu wytrzymać - miał przynajmniej o czym myśleć.

Głos dziewczyny w uszach Setery Kearsa to cichł, to znów narastał, jak gdyby to ona sama oddalała się lub przybliżała.

- ... Jeżeli w danym momencie ciało jest pod jego kontrolą, to czemu by samemu nie poćwiczyć, nieprawda? Zresztą podstaw gimnastyki sama go uczyłam, ale to już było dawno. Teraz mają specjalnego trenera - Part wykonuje ćwiczenia na olimpijskim poziomie...

Setera Kears zapadł się w otchłań. Uczepiwszy się ostatniego zdania, wyrzucił z głębin pytanie jak krzyk o ratunek:

- To znaczy, że i Kears ćwiczy? Jeżeli jedno ciało na dwóch?

- Gdzie mu tam do tego - przy jego pięćdziesiątce... To jest, chciałam powiedzieć, że on już nie pierwszej młodości. No, a w gimnastyce wszystko zależy od specyficznej automatyki odruchowej. Oczywiście sprawność ruchowa stawów, wyrobiona przez Parta, przydaje się i Kearsowi, ale ich automatyzmy to zupełnie inna sprawa. W ogóle to piekielnie skomplikowana sytuacja, ale szalenie interesująca z badawczego punktu widzenia - wciąż nowe niespodzianki. Ja sama zauważyłam coś dotąd nie znanego, gdy jeszcze ćwiczyłam z Partem. Wkładał w ćwiczenia całą duszę, wykonywał najtrudniejsze ewolucje, aż pot lał się z niego ciurkiem, a Kears w tym czasie spał. Potem Part wyłączał się i ciało dostawało się pod kontrolę ojca - da pan wiarę, że było ono zupełnie wypoczęte? Jak nowo narodzone. - Dziewczyna zerknęła na prawdziwego Kearsa. - Pan nie wierzy?... Powie pan, że zmiany w mięśniach, że kwas mlekowy... Zgadza się, kwas tworzy się, ale i znika momentalnie w chwili podłączenia nowego mózgu. Przedziwna to historia, okazuje się jednak, że pojęcie zmęczenia istnieje jedynie w świadomości, ciało może pracować choćby i rok bez przerwy. To jakby silnik w zamkniętym układzie - byleby było paliwo, może działać miesiącami...

- Tak, zdumiewające rzeczy...

- No właśnie. - Dziewczyna jak gdyby umyślnie nie zauważała jego stanu. - ... Albo na przykład fortepian. Ich nauczycielką jest moja przyjaciółka, więc nieraz miałam okazję uczestniczyć w lekcjach. Kears i Part zaczęli grać razem. Part stał się już niezłym pianistą, a Kears w dalszym ciągu nie potrafi nawet „Frère Jacques” jednym palcem zagrać - a ręce przecież te same. Niech więc pan wyobrazi sobie teraz taką scenę - nauczycielka zademonstrowała ćwiczenie, następnie włącza się Part i powtarza wszystko bez żadnych trudności, po czym wyłącza się. Kears stara się wykonać to samo ćwiczenie, ale bez rezultatu... Mam nadzieję, że pan rozumie, co to znaczy „wyłączyć się”? To jakby położyć się czy usiąść w fotelu i całkowicie się rozluźnić. Można wtedy spać lub myśleć o niebieskich migdałach. A jeśli im jednocześnie zechce się zrobić coś - na przykład jednemu poruszyć ręką w prawo, a drugiemu w lewo - decyduje wówczas silniejszy impuls. Oni dość często tak się „siłują” - dawniej Kears zawsze brał górę, a teraz chłopiec nierzadko wygrywa... W ogóle to uroczy chłopak - cały instytut go lubi. Jedno, co dziwne, to brak u niego zdolności do matematyki, mimo takiego ojca. Maluje i gra świetnie, ale równania całkowite opanował, i to z trudem, dopiero w wieku trzynastu lat...

Mgła rzedła i powoli znikąca. Kontury otaczających ich przedmiotów stawały się ostre i wyraźne, jak świecące litery na tablicy reklamowej.

Kears odchrząknął.

- A co z nimi będzie dalej? Czy nie można by ich jakoś rozdzielić?

- Można, będziemy to robić w końcu tego roku. Wcześniej byłoby to zbyt duży szok dla Parta. Radził się już psychologów i socjologów i wszyscy mówią, że osobowość dla swego rozwoju potrzebuje stabilizacji. Mogłoby się zdarzyć tak jak z dziećmi, które rodzice wożą ze sobą po całym świecie - brak bazy kulturalnej, na której tworzy się osobowość. Ale teraz ten niebezpieczny okres już minął... Pan zapewne ich obu razem nie widział. Gdy przychodzi ktoś nowy, Kears włącza system zwierciadeł, aby uniknąć wstrząsu...

Zjawił się ponownie barman ze świeżą kawą i kanapkami. Kears zapalił i zamyślił się. Było nawet coś pocieszającego w tym, że jego stary druh nie okazał się po prostu ofiarą nieszczęśliwego wypadku. W pewnym sensie był to nawet rozwój - pokochać takie niezwykle dziecko, wychowywać je - wszystko to stawiało Lesa w nowym świetle;

- Niech mi pani jednak powie, co z tym drugim chłopcem? Tym z gitarą, Proozem-juniorem. Jak on się tutaj dostaje - przecież tu wszystko ściśle tajne.

- A jak pan tu się dostał? - odpowiedziała pytaniem dziewczyna.

- Czysty przypadek. Miałem ze sobą list od Kearsa, a poza tym na wartowni okazało się, że jakiś tam ich przełożony wyszedł napełnić zapalniczkę.

- No, no... A ten porucznik na posterunku nie przeglądał przypadkiem książeczki o miliarderach?

- Tak... Czyżby to był porucznik? Myślałem, że jakiś agent - miał bardzo dziwny mundur.

- To straż wewnętrzna. Firma utrzymuje tu całe wojsko dla ochrony swoich tajemnic i do pilnowania robotników i nas i stopnie też są wojskowe - sierżanci, porucznicy, pułkownicy... W większości to równi chłopcy. Ten porucznik zawsze ma przy sobie tę książeczkę, żeby wydawało się wszystkim, że on o niczym innym nie myśli. Co zaś do zapalniczki, to ich szyfr, leżeli o niej mówią, to oznacza, że przyszedł porządny człowiek - w ogóle puszczają każdego, kto im się spodoba. Jednak niech no tylko przyjdzie jakaś komisja czy członkowie zarządu, to będą się czepiać każdej drobnostki, choćby to trwało i ze trzy godziny. Ja, mówiąc między nami, pracuję w tym samym wydziale. Pan sobie nawet nie wyobraża, jaką mam funkcję - nazywa się to „dziewczyna na pokaz”.

Mimo woli Kears pomyślał, że trudno by było o lepiej dobraną obsadę w tej roli. Dziewczyna była zgrabna jak baletnica - o smukłych biodrach i wąskiej talii - by zaś opisać jej twarzyczkę, wprost słów brakowało.

- Obowiązki moją polegają na tym, że od czasu do czasu wychodzę na górę do ogrodu i zajmuję się kwiatami, koniecznie jednak w sukience, a nie w spodniach. Muszę tam wachać róże, wznosić w górę oczy, tęsknie wzdychać i skromnie odwracać się, gdy ktoś na mnie spojrzy z ulicy. Ten domek, w którym znajduje się nasz pierwszy posterunek, powinien niczym nie odróżniać się od innych domów. Tyle że w miasteczku zna mnie każdy kot, więc robię to wszystko dla tych samych inspekcji z

Rady Zarządu. - Dziewczyna z apetytem nadgryzła kanapkę. - Co prawda, ja bardzo lubię kwiaty - są takie miłe, a kiedy mnie długo nie ma, zaczynają więdnąć, jak gdyby też mnie lubiły.

Spojrzała na zegarek i twarz jej naraz spowaźniała.

- Ejże, chwileczkę - dostał się więc pan tutaj bez jakichkolwiek dokumentów?

- Nie, skądże, mam swój identyfikator.

- A przepustkę?

- Nie.

- Dopustkę?

- Nic w tym rodzaju.

- Czyżby ci tam na górze nie dali panu przynajmniej wpustki? Ani nawet wypustki z ciągu głównego?

Kears wzruszył ramionami.

W oczach dziewczyny pojawił się strach.

- A niech to diabli, przecież chłopcy uprzedzali, że szykuje się nieoczekiwana kontrola. Wie pan, naszemu kierownictwu odbijają czasami takie pomysły. W pięć minut po sygnale dzwonkiem puszczają psy. W tym czasie wszyscy powinni opuścić korytarze i zasiąść na swoich roboczych stanowiskach... Co teraz pocniemy?

Wzięła w rękę poprzeczkę z oparcia krzesła.

- Słuchaj, Sang, mamy taką sprawę...

- Słyszałem wszystko - odezwał się metaliczny głos. - Co za fajtlapy na pierwszym posterunku, żeby nie dać żadnego świstka... Słuchaj, Niol, ten twój przyjaciel da radę biegać?

Dziewczyna popatrzyła na Kearsa.

- Rwijcie z miejsca do Czwartego Przejścia, a ja poproszę chłopców, żeby bodaj na chwilę przytrzymali zasłonę. Co prawda, mogą puścić psy i z tej strony - wtedy uciekajcie do Maszynowni - niskie drzwi na lewo od przejścia. Tylko tam nie zabłądźcie.

Dziewczyna zerwała się na równe nogi.

- Za mną!

Była już przy drzwiach, gdy Kears zaczął powoli się podnosić - wszystko, co działo się wokół niego, było mu dziwnie obojętne.

Dziewczyna obróciła się z gniewem na twarzy.

- Co panu? Ma pan ochotę trafić w Procedurę? To nie zabawa, tu chodzi o życie!

Przenikliwy brzęczący dźwięk, w którym brzmiał cały chór głosów, przeszył pomieszczenie. Zdawało się, że dzwoni wszystko: ściany, podłoga nawet ludzkie ciała. Rozpadła się solidna rzeczywistość, nadchodził wybuch wulkanu, trzęsienie ziemi, a może wojna. Oboje rzucili się ku wyjściu.

Korytarz był zatłoczony ludźmi - tylko nielicznych dzwonek zastał na miejscu. Dziewczyna energicznie przedzierała się przez tłum, Kears biegł za nią, usprawiedliwiając się bezustannie w przelocie.

Dźwięk dzwonka przybierał na sile. Ludzi wciąż ubywało, z metalicznym brzękiem zatrząskiwały się drzwi. Nioł dała nurka w wąski korytarzyk, potem na schody, znowu korytarz, tym razem szeroki i już całkiem opustoszały, i znów ciasne przejście. W górę, w dół, w prawo, w lewo, do przodu, w tył - Kears ledwie nadążał, mijając z rozpędu miejsca, w których dziewczyna zmieniała kierunek biegu. Tempo wciąż rosło. Szybciej! Szybciej!

Podeszwy butów ślizgały się na gładkiej podłodze, trzeba było dokładać nadzwyczajnych starań, balansować całym ciałem, by utrzymać równowagę. W głębi trzewi narastała dokuczliwa kolka.

Dzwonienie ustało i w jednej chwili zaległa ogłuszająca cisza. Wokół nie było żywej duszy. Przebiegli pod owalnym łukiem i zwolnili kroku. W chwilę potem dziewczyna zatrzymała się i oparła o przezroczystą ścianę, za którą majaczyły jakieś schody.

Za plecami Kearsa bezgłośnie opadła falista, połyskująca zasłona, zamykając owalne przejście.

- Zdążyliśmy! - pierś Nioł wznosiła się i opadała w kurczowym oddechu. - Dawno już tak nie gnałam - z uznaniem popatrzyła na Kearsa. - Nawet nie przypuszczałam, że pan będzie się tak trzymał. Uciekać przecież znacznie trudniej, jeżeli nie wie się, dokąd.

- A czy to naprawdę było potrzebne? - zapytał, również dysząc ciężko.

- Przypuśćmy, że by mnie odkryli - i co wtedy?

- Jak to? Postąpiliby według Procedury. Zresztą nie tylko z panem - dopadliby wtedy i porucznika, który pana wpuścił, i Seterę Kearsa... Niech pan zrozumie, firma potrafi tak przedstawić całą sprawę, że naruszając jej interesy narusza pan jednocześnie interes państwa. A tu tylko podpaść pod odpowiedni paragraf i reszta idzie automatycznie. Naruszenie Tajemnicy, złamanie Lojalności - dla każdego coś się znajdzie. Nawet gdyby panu udało się uniknąć więzienia, to i tak z rok by pan stracił na przesłuchaniach.

Szli teraz prostym jak napięta struna korytarzem, który, zdawało się, biegł tak w nieskończoność.

- Procedura to bezduszny mechanizm - powiedziała dziewczyna - dowolne zajście wyzwała w niej cały łańcuch procesów, których wewnętrzna logika widoczna jest, niestety, dopiero post factum. Przewidzieć w niej niczego nie można, patrząc jednak wstecz widzisz, że inaczej być nie mogło. Każda organizacja ma swoistą strukturę i sposób myślenia. Nadzór więc, na przykład, zakłada, że żaden człowiek nie jest bez winy. Ludzie tam pracujący powinni wykazać, że nie biorą pieniędzy za darmo. Zresztą oni sami chcą tego, po prostu dla spokoju sumienia, lepiej więc od takich rzeczy trzymać się z daleka i nie dać się wplątać. To właśnie robimy.

Nieoczekiwanie dziewczyna zamarła w bezruchu.

- Niech pan patrzy!



Przez przezroczystą prawą ścianę widać było jak na dłoni schody, po których, przeskakując po dwa stopnie, biegły trzy postacie w sztywnych, niezgrabnych kombinezonach, z maskami na twarzach - przewodnicy psów. Ich podopieczni - ogromne, długowłose bestie posuwały się przodem, jedna z nich skręcała już nawet na drogę wiodącą do korytarza.

- Z tej strony również puścili - w oczach Niol przez chwilę widniała rozpacz. - Do tamtych drzwi!

Pobiegli z powrotem tam, gdzie w pobliżu przejścia widniały niskie drzwiczki. Kears szarpnął za klamkę.

- Nie w tę stronę! Do środka!

Drzwi stanęły otworem. Wnętrze pomieszczenia zajmowało ogromne kłębowisko splątanych rur - grubych, cieńszych i całkiem cienkich, przeplecionych schodkami i napowietrznymi kładkami. Trudno to nawet było nazwać pomieszczeniem - tylko rury i kładki, nieregularną siecią rozciągającą się w głąb we wszystkich kierunkach i ginące gdzieś w dali w mdłym świetle. Kears i dziewczyna stojąc na maleńkiej platformie przy wejściu, poczuli się jak na skraju przepaści.

Kears zatrzasnął drzwi. Nie było na nich widać żadnego zamka.

- Może po prostu przytrzymać od wewnątrz?

- Co też pan! - Niol chwyciła go za rękę. - Zaraz za psami nadbiegną strażnicy.

Mimo wszystko sytuacja miała wciąż dla Kearsa nierealny posmak, dlatego też spóźnił się znowu i ruszył w ślad za dziewczyną dopiero wtedy, gdy jej stopy dudniły już na metalowych schodkach.

I znowu w górę, w dół, w lewo, w prawo. Gdzieś z tyłu doleciało gromkie szczekanie psa. Daleko w przodzie migały srebrzyście połyskujące spodnie i biała kurtka Niol. Dookoła unosił się pulsujący, przytłumiony szum, narastający w miarę ich wkraczania w głąb konstrukcji.

Stopnie, kładki, poręcze. Chwył ręką, przerzut nogi. Kears i dziewczyna znajdowali się teraz w gęstwinie ciasno splecionych rur, gdzie miejscami przychodziło czołgać się lub dla odmiany skakać. Dookoły szum bez przerwy przybierał na sile.

- Ej, chwileczkę!

Kears zatrzymał się. Dziewczyna stała na sąsiedniej kładce, oddalona od niego o pięć metrów.

- Niech pan tu przyjdzie! Poczekam! - krzyczała, zwinąwszy dłonie w trąbkę.

Kears skinął głową i dał parę kroków do przodu, prowadząca stąd jednak drabinka wyraźnie go oddalała od Niol. Zapewne gdzieś po drodze musiał w pośpiechu popełnić błąd, przeskakując na sąsiedni szlak. Zrozumiawszy to, zawrócił i krzyknął:

- Rozdzieliliśmy się! Spróbujmy się cofnąć!

Dziewczyna przytaknęła ruchem głowy. Kears zawrócił na platformę, z której wybiegały dwie drabinki - prawa wydawała się przybliżać go ku Niol. Ruszył do góry, wkrótce jednak dostrzegł dziewczynę pod swymi stopami. Pomimo tego oboje nie przerwali marszu, co po dwóch minutach doprowadziło do zmiany ról. Ponownie dzieliło ich zaledwie pięć metrów, do ich pokonania trzeba by jednak mieć

skrzydła, ruszyli więc dalej. Kears dotarł wreszcie do galerii, której strop i ściany tworzyła drucziana siatka. Daleko w jej głębi zajaśniała białą plamą kurtka Nioł. Nareszcie - oboje rzucili się biegiem i byłiby po chwili tuż obok siebie...

...gdyby nie rozdzielająca ich siatka, gęsta i mocna.

Nioł wsunęła palce w jej oczka.

- No cóż, lepiej już tu zostańmy - powiedziała. - Kontrola skończy się i chłopcy nas odnajdą, a to całkiem...

Kears obrócił głowę i spojrzał śladem jej nagle znieruchomiętego wzroku. Czarno-biały pies, zgrabnie przebierając łapami, wdrapywał się na galerię od jego strony. Kears skoczył do przodu, wypadł na jakąś platformkę i zatrzymał się w niezdecydowaniu. Kładki wiodły w górę i w dół, nie przedstawiały jednak żadnych trudności dla jego prześladowcy.

Tuż za plecami ozwało się głucho warczenie.

Nie namyślając się już dłużej, zeskoczył z platformy na najbliższą rurę, objął ją rękami i zsunął się o dwa metry w dół, do rozgałęzienia, skąd, nie patrząc pod nogi i wciąż się potykając, pobiegł przed siebie po grubym wsporniku.

Pies również skoczył. Wielkie ciało śmignęło w powietrzu, rozległ się odgłos głuchego uderzenia i żałosne wycie.

Kears w panice rzucił się w głąb płataniny rur. Wijąc się i pełzając oddalał się coraz bardziej od druczanej galerii. Pies pozostał w tyle - jego popiskiwanie dolatywało skądś z daleka.

Jeszcze parę kroków, jeden sus, drugi - Kears precyzyjnie przeszedł przez ciasny węzeł tylko po to, by po chwili znaleźć się w następnym, nie mniej ciasnym. Okraczywszy wspornik, opuścił nogi i siadł, by zebrać siły przed dalszą drogą. Wyglądało na to, że znalazł się we wnętrzu gigantycznego wzmacniacza hydromechanicznego. Rury, faliste i gładkie, pionowe, poziome i skośne, otaczały go ze wszystkich stron, w niektórych kierunkach rozluźniając nieco swe sploty. Niedbale położone pasma luminescencyjnej farby skąpo oświetlały niezliczone rozgałęzienia.

Dokąd iść teraz? Nie mógł sobie nawet wyobrazić, gdzie leży ta platforma, z której dał pierwszy skok. Wołać dziewczynę? Nabrał powietrza w płuca, otworzył usta i... zamknął. Równomierny, szepczący szum dookoła, szum, w którym jakkolwiek dźwięk tonął bez śladu.

Sytuacja była wprost nieprawdopodobna - wokół nic, tylko rury, przez które nawet wzrok nie był w stanie się precyzyjnie skierować. Nie wiedział nawet, czy idąc posuwa się ku skrajowi tego systemu, czy też w jego głąb.

„No cóż, byle nie siedzieć na miejscu.”

Wstał i poszedł przed siebie po grubej rurze, równoległe do której biegła rura cieńsza, doskonale spełniająca rolę poręczy. Ta wygodna droga prowadziła jednak donikąd - kończyła się tak ciasnym węzłem, że nie pozostawało nic innego jak zawrócić. Na drugim końcu oczekiwało go również rozczarowanie - poziomo biegnąca rura łączyła się z pionową, zamykając dalszą drogę, skręcił zatem

w prawo, przeskakując z jednej rury na drugą. Sztuczny gąszcz wciąż nie rzedł, na podobieństwo ruchomej klatki. Zdumiewająco łatwo traciło się tu wszelką orientację.

Zrobiło się nieco luźniej, uradowany przyspieszył więc kroku. Przeskoczył półtorametrową szczelinę i chwyciwszy rękami skośną rurę... puścił ją z krzykiem - miała temperaturę wrzątku. Przez moment walczył o utrzymanie równowagi, bezradnie wymachując rękoma, po czym obrócił się do tyłu i skoczył niżej. Żar bijący od grubej rury piekł go nawet przez podeszwy butów, cienka rura paliła dłonie. Odskoczył gdzieś w bok, zakreślił nim w powietrzu, o coś uderzył piersią. Zdołał objąć jakąś rurę, na szczęście jedynie ciepłą, i zsunął się po niej do rozgałęzienia, oszołomiony i poparzony. Tuż pod jego stopami otworzyła się naraz bezdenne głębia - niemal kosmiczna pustka, w której z rzadka jedynie majaczyły zarysy takich samych rur.

Był tak roztrzęsiony bólem i strachem, że omal się nie rozplakał.

„A żeby to wszyscy diabli, jak można tak się znęcać... Przecież jestem człowiekiem, ojcem rodziny!”

Myśl o Ronie i chłopcach przydała mu sił. Zaciął zęby i rozejrzał się wokół.

Otaczał go ten sam metalowy gąszcz. Orientację stracił już dawno, wiedział jedynie, że znajduje się znacznie poniżej punktu wyjścia. Szukać drogi w poziomie nie miało żadnego sensu, powrót ku górze był zbyt męczący, pozostawał zatem jeden kierunek - w dół.

Nie była to jednak droga łatwa. Cienka rura, po której Kears zaczął schodzić, łączyła się wkrótce z tak grubą, że nie był w stanie objąć jej ramionami, musiał zatem zawrócić. Kiedy indziej zabłądził w gęstwinie gorących rur; wydostanie się z niej zabrało mu sporo czasu i energii. Zupełnie wyczerpany, przysiadł więc na pierwszej chłodnej rurze i z pewnym przerażeniem pomyślał, że można by tu błądzić tak całymi dniami, nie widząc żywej duszy.

Oto prawdziwa dżungla cywilizacji w całej okazałości.

Z nagła ogarnęła go złość na Niol i jej przyjaciół - wpuścić, wpuścili, ale o zabezpieczeniu nie pomyśleli - wkrótce jednak opamiętał się. Nikt tu nie jest winny, sam przecież chciał widzieć się ze starym znajomym, zasięgnąć jego rady. „No dobra, jakoś tam będzie!” W oddali błysnęło jasne światło. Kearsowi drgnęło serce, ruszył w tym kierunku, pełznąc po rurach na czworakach. Światło zbliżało się, było już widać, że jego źródłem był przewód fluorescencyjny oplatający rury i wraz z nimi schodzący gdzieś w dół.

Nastrój Kearsa poprawił się. Jeszcze jeden poziom niżej i jeszcze jeden. Świeący przewód rozgałęział się. Ostatni wysiłek i pod stopami Kearsa znalazła się wreszcie twarda betonowa podłoga. Zrobione!

Ruszył na chybił trafił pomiędzy wielkie, przypominające katafalki metalowe pudła.

Ukazało się czworokątne wgłębienie, a w nim stalowe drzwi. Otworzył je - wewnątrz było ciemno. Rozejrzał się i pociągnął ku sobie żyłą świecącego przewodu. Z trudem odłamał kawałek i, trzymając go z dala od oczu, wkroczył do wnętrza. Już po paru krokach ogarnęło go dziwne uczucie - jakby z ramion zdjęto mu ogromny ciężar. Zatrzymał się, starając się odgadnąć, o co chodzi, i wreszcie zrozumiał - bezustanny, męczący szum ścichł tu niemal całkowicie. Postąpił jeszcze do przodu i znalazł się w niskim pomieszczeniu, wypełnionym jakimiś maszynami. Ogromne koła zębate, dźwignie,

korbowody trwały zamarte w bezruchu. Ciemności umykały w bezgłośnym popłochu, cienie miotają się po ścianach, krzyżując się i przeplatając.

Zszedł w dół po schodkach, okrążył pokrywę włazu, przy zespole zębatek skręcił w prawo, zaś przy żelaznych kołowrotach - w lewo. Minął palisadę metalowych kołków, wdrapał się na jakąś platformę i tu dopiero zauważył, że światło trzymanego w ręku przewodu wyraźnie osłabło.

A bodaj by to... Wyglądało na to, że był to jeden z tych starych fluorescentów, wymagających stałego zasilania. Nie czas jednak na próżne żale, trzeba było jak najszybciej wracać. Ruszył biegiem, roztrzaskując umykające cienie. Otoczenie, oglądane z drugiej strony, wyglądało całkiem inaczej. Uderzył się o kotek, o mało co nie wpadł do włazu, potknął się na schodkach. Ciemność gęstniała, stygnący w palcach przewód żarzył się już czerwono, niemal nie dając światła. Kears wyrznął w coś głową, kieszeni marynarki zaczepił o zębatkę, szarpnął, na oślep rzucił się w jedną stronę, w drugą i dostrzegł drzwi.

Wyszedłszy na zewnątrz oparł się o ścianę, ciężko dysząc. „Trzeba być ostatnim idiotą - pomyślał - żeby się porywać na takie eksperymenty.” Trzęsącymi się rękami wydobyl z kieszeni papierosa i zapalił go, pocierając końcem o ścianę. Rozdeptawszy niedopałek ruszył wzdłuż ściany budynku. Urywała się ona wkrótce w tym samym miejscu, gdzie kończyła się betonowa platforma. Dalej, za wątlą barierką, otwierała się otchłań nowego szybu. Wypełniające go rury spływały w nieodgadnioną głębię, posplatane jak liany w tropikalnym lesie, i końca ich nie było widać.

Kawałek świecącego przewodu, teraz zaledwie czerwonawy, w dalszym ciągu wystawał mu z kieszeni. Kears wyjął go i, przechyliwszy się przez barierkę, wypuścił z palców. Czerwonawa, szybko malejąca kreseczka wkrótce zniknęła mu sprzed oczu, jak gdyby rozpluwając się w powietrzu.

Kears zagryzł wargi. Tyle wysiłku, by znaleźć się zaledwie gdzieś w połowie drogi, na betonowej wyspie, zawieszanej w powietrzu. To właśnie czyniło ową technologiczną dżunglę stokroć gorszą od prawdziwej - w normalnym lesie zabłądzić można wszak tylko na jednym poziomie, tu zaś poziomów takich mogło być dowolnie wiele. Któż go tu odnajdzie, nawet gdyby zechciał szukać?

Zawrócił ku drzwiom, by przyjrzeć się świecącym przewodom - oberwane końce zdążyły już mocno sczerwienić.

Po raz pierwszy ogarnął go prawdziwy lęk. Westchnął, przerzucił nogi przez barierę i, chwyciwszy się najbliższej rury, ponownie ruszył w dół. Tym razem szło mu już znacznie lepiej - zorientował się, że gorące bywają tylko mosiężne rury, że znacznie wygodniej jest iść po betonowych, po których nie ślizgają się nogi. Otoczenie ustawicznie zmieniało się: niekiedy natykał się na tak gęste sploty, że niemal nie był w stanie precyzyjnie przejść przez nie, to znów zawisał prawie że w próżni. Trudno było uwierzyć, że gdzieś tam pozostało normalne, naziemne życie - niebo, wiatr, szumiące pola pszenicy. Dwukrotnie mijał po drodze betonowe wyspy, nie starał się jednak nawet zbliżyć do nich, wciąż tylko idąc, pełznąc, spadając w jednym kierunku - w dół. Minęły dwie, może trzy godziny, gdy wreszcie w głębi ukazały się jakieś zbiorniki, zarysy jakichś tajemniczych konstrukcji. Wszystko to powoli zbliżało się ku niemu, ogromniejąc w rozmiarach. Kears zsunął się po cienkiej rurze, ubrudzony i obszarpany. Zeskoczył na pokrywę zbiornika, zszedł po metalowej drabince i, przeszedłszy jeszcze parę kroków po kamiennej posadzce, ciężko usiadł.

Musiałoby to już być chyba prawdziwe dno. W górze rozciągała się niezmierna przestrzeń szybu, w pobliskich zbiornikach coś z cicha postukiwało.

Ani żywego ducha - wokół tylko automaty. Duchota, gorąco, ciężkie, nieruchome powietrze, przesycone miliardami kropelek rozpylonego oleju.

Kears uniósł przegub ręki, by sprawdzić godzinę, ale zegarka nie było - musiał go zgubić jeszcze gdzieś po drodze, w górze. Dotkliwe ssanie w żołądku przypominało mu o jedzeniu - z goryczą pomyślał, że prawdziwy las nie odmówiłby mu owoców czy bodaj korzonków, podsunął pod nogi strumień, w najgorszym razie pozwolił zlizać rosę z liści.

Wstał i ruszył przed siebie. Zbiorniki wkrótce skończyły się, ustępując miejsca betonowym sześciennym blokom o szczelnie zanitowanych drzwiach. Co mogło w nich się kryć? Kto wie, czy nie komputery - być może nawet, że tu właśnie znajduje się ten, który trzyma go na smyczy, oddziałując na elektrody w jego własnym mózgu.

Niepostrzeżenie pojawił się u góry strop. Kears znajdował się teraz w betonowym korytarzu. Z jego głębi dolatywał nowy dźwięk, niepodobny do wszystkich słyszanych poprzednio - metaliczny grzechot czegoś poruszającego się. Kears zatrzymał się na skrzyżowaniu, starając się określić kierunek, z którego dochodził go hałas, po czym przyspieszył kroku, wychodząc wkrótce znowu na otwartą przestrzeń.

Z zięjącego w ścianie otworu wybiegała ku górze kolejka linowa, której drugi koniec krył się gdzieś w mroku. Po rozedrganych, grubych stalowych linach sunęły kolejno, jeden za drugim wagoniki, połyskując w blasku świecącego przewodu.

Tu również nie było śladu człowieka. Technologiczne stwory pracowały i rozwijały się w swym podziemnym państwie bez potrzeby kontaktu ze swoim twórcą.

Kears postął chwilę, patrząc na kolejkę, która swym ruchem stwarzała przynajmniej złudzenie czegoś żywego, a potem ruszył dalej. Dręczyło go wzmagające się poczucie beznadziejności położenia. Zaprzagnął, by odnaleźć w końcu tę ostateczną, wszystkie dropi zamykającą ścianę, nic jednak dookoła nie zagradzało mu przejścia - we wszystkich kierunkach biegingy identyczne, nieskończone korytarze pomiędzy blokami betonu.

Zadziwiająco było, że ta niezwykła sytuacja, w której się obecnie znalazł, była rezultatem całego ciągu najzupełniej sensownych zdarzeń. Zrozumiałe przecież, że zechciał zobaczyć obecnego Seterę Kearsa, równie jak to, że porucznik wpuścił go pomimo zakazu. Sensownym również było zarówno ich ukrywanie się z dziewczyną przed kontrola, jak też i jego skok na rury w ucieczce przed psem - w ogóle wszystko było logiczne. Kears nie mógł sobie przypomnieć bodaj jednego momentu, w którym postąpiłby bezmyślnie, a jednak te wszystkie sensowne postępy złożyły się w sumie na jeden wielki i przerażający bezsens - dlaczego?

Korytarze rozgałęziały się, tworząc gdzieś na skrzyżowaniach niewielkie sale, niekiedy były przegrodzone belkami, na które trzeba było się wspinać. Hałas kolejki linowej dawno już pozostał w tyle. W panującej wokół ciszy Kears słyszał pulsowanie krwi w żyłach.

Zatrzymał się i spojrzął na sufit, po którym biegły świecące przewody - nie można było już mieć wątpliwości, że ich blask stał się wyraźnie słabszy. Gdy rozpoczął wędrówkę, widoczność sięgała trzydziestu - czterdziestu metrów, zaś teraz już po dziesięciu metrach wzrok tonął w mętным, szarawym półmroku.

Setera Kears chwycił się za głowę - Boże, toż to nic innego jak sen, koszmar. Wystarczy krzyknąć, a czar pryśnie.

Nie krzyknął. Odkrył twarz i spojrzął na naigrawające się z niego bezgłośnie szare ściany. Przewody czerwieniały już na zgięciach - do zapadnięcia pełnych ciemności w tym labiryncie bez wyjścia pozostawała już, być może, tylko godzina.

Ogarnięty popłochem pobiegł przed siebie, zaraz jednak zwolnił kroku i szedł już, a raczej włókł się spokojnie, chwytając się rękoma ścian. W przodzie dało się słyszeć równomierne posapywanie, a gdy się tam skierował, trafił na zamknięte żelazne drzwi.

Sapanie z wnętrza zastąpiły jakieś trzaski, zadźwięczał dzwonek, coś zawarczało, szczęknęło i znowu sapanie.

Tam za drzwiami maszyny rozmawiały ze sobą w swoim własnym języku, kłóciły się, plotkowały i dyskutowały, nie słysząc, nie mając nawet możliwości usłyszeć głosu Kearsa.

Z jękiem osunął się na ziemię. Przyszło mu do głowy, że może lepiej by było dla niego, gdyby pozostał tam, gdzie oderwał kawałek świecącego przewodu. Miałby wtedy bodaj cień nadziei, że ktoś zacznie poszukiwać uszkodzenia. Chociaż z drugiej strony, ile mógłby tak czekać w ciemności, zawieszony w pustce nad otchłanią, i czy w ogóle doczekałby się kogokolwiek. Bardzo to przecież prawdopodobne, że światło potrzebne było tu jedynie przy montażu, a potem ludzie nawet tu nie zaglądali. No, a gdyby nawet było inaczej, to przecież powrót setki metrów w górę i odszukanie tej właśnie betonowej wyspy wśród płataniny rur było w zapadających ciemnościach zupełnie nierealne...

Czyżby to już śmierć? Zapewne właśnie tak umierają ci wszyscy, o których mówią: „utonął”, „spalił się”, „wpadł pod samochód”. Słyszysz to, ale nie myślisz o tym, nie przywiązujesz żadnego znaczenia, zapewniając siebie w zadufaniu, że ciebie nie spotka żaden wypadek, że koniec twych dni będzie pięknym, a może nawet nieco wzniosłym, logicznym podsumowaniem czegoś wielkiego (tamci, co prawda, też tak myśleli, dopóki los ich nie dosięgnął). Żyjesz więc wyobrażając sobie, że przed tobą jeszcze długie lata, które, gady śmierć się przybliży, pozwolą raz jeszcze popatrzeć na minione życie, któremu ostatnim wysiłkiem woli będziesz się starał nadać jakiś sens i urodę, ale nic z tego - śmierć przychodzi nieoczekiwanie i na nic już nie ma czasu. Trzeba pogodzić się z myślą, że oto gdzieś pośród wszechogarniającego, bezdusznego chaosu dziejów gaśnie iskierka twojej świadomości no krótkim, pełnym kopciami i migotania żywocie.

- Może tak i lepiej - powiedział na głos, - Niech ginie w diabły. Cywilizacji i tak już nic nie uratuje. Gdzieś w połowie dwudziestego wieku ród ludzki osiągnął szczyt rozwoju, a dalej jest już tylko brzęcząca metalem pustka. Żał jedynie dzieci - wiele im jeszcze przyjdzie zrozumieć i doświadczyć, jeśli zapragną żyć po ludzku, by i tak w końcu złożyć głowę gdzieś wśród maszyn.

W tej chwili nie pragnął nawet widoku ludzi - nie tylko sędziów czy poruczników Nadzoru, nie - w ogóle żadnych ludzi.

Pokiwał głową; być może, w takiej śmierci jest nawet pewna logika. Ostatnimi czasy dość często odnosił wrażenie, że w ryku samochodów, podszeptach stimceiverów, dźwięku telewizora czai się technologiczna bestia gotowa skoczyć mu do gardła - nikt inny, tylko ona zaciągnęła go tu, w tę sieć rur, w ten betonowy grób, by go ostatecznie zadusić.

„Och, bydlę!”

Z rozmachem kopnął ścianę. Zamiast na twardego betonu trafił na coś miękkiego i ustępującego.

Kears sięgnął po to „coś”, podnosząc je niemalże do samego nosa. Ciało jego przeniknęła fala trzeźwiącego, radosnego przecucia, zanim jeszcze rozpoznał trzymany w ręku przedmiot.

Była to biała kurtka Nioł. Niemnący i niebrudzący się materiał sprawiał, że wyglądała świeżo, niemal jak prosto ze sklepu.

Ależ to znaczy, że i ona jest tutaj!

Jak tu jednak trafiła, równie jak on nie znając drogi w tej plątaninie rur, wśród labiryntów ze stali i betonu? Czy to możliwe, by go szukała? Czyżby w naszych czasach istnieli jeszcze tacy ludzie?

Zerwał się na równe nogi.

- Hej... Hej-ej!

Głos miotał się chwilę, objając się o ściany, i zamarł.

- H-e-e-e-j!

Kears pobiegł naprzód.

Korytarz kończył się ślepo, zawrócił więc i wypadł na skrzyżowanie.

- Hej! Hop, h-o-o-o-p!

Nasłuchiwał, trzymając kurtkę w ręku, jak gdyby na potwierdzenie swego prawa do odpowiedzi. Cisza.

I znów następny korytarz, powrót, jeszcze raz - wszystko na próżno.

Po mniej więcej godzinie, ochrypli i całkiem rozbity, siadł wreszcie na zakurzonej belce, przegradzającej wąskie przejście. Wokół było całkiem ciemno, jedynie na suficie tliła się czerwona nić przewodu. Warstwa kurzu na belce dowodziła, że od lat nie było tu żywej duszy. Paliło go w gardle od krzyku i pragnienia, zeschnięty język zawadzał w ustach jak kawałek drewna.

Przyszło mu na myśl, że warto by zostawić jakąś przedśmiertną zapiskę - przekazać ją, być może, kiedyś żonie i dzieciom. Wsunął rękę do kieszeni i namacał giętą karteczkę z reklamą „Zaufania”. Wstrząsnął się, zgrzytnął ze złości zębami.

„Bodaj wam na złość nie dam się - lepiej tu zdechnąć, niż się poddać!”

Spróbował podrzeć kartkę, ale bezskutecznie, rzucił ją więc na ziemię, splunął i przydeptał nogą. Z uporem ruszył dalej, choć krok mu się plątał i nieraz wypadło opierać się o ściany.

W otaczającej go ciemności raczej wyczuł, niż zobaczył, otwór na wysokości kolan. Wcisnął się do wnętrza - był to rodzaj ciasnego przełazu prowadzącego z lekka w dół. Początkowo szedł na czworakach, potem zaczął pełznąć. Przełaz ścieśniał się stopniowo i wkrótce już stało się oczywiste, że odwrotu stąd nie będzie. Zdawało mu się, że stał się termitem drążącym podziemne tunele. Znienacka twarz jego owionął podmuch wiatru, w ślad za którym doleciał go przytłumiony łomot. Za gwałtownym zakrętem drogę zagroziła mu krata, nie była to jednak poważna przeszkoda - usunął ją jednym ruchem ręki. Dalej było już przestronnie, można było wstać i rozprostować zmęczone członki. Kears uczynił to, rozglądając się bacznie dookoła. Stał u skraju jasno oświetlonego tunelu o zielonkawych ścianach, którego końca ni z lewa, ni z prawa nie było widać. Pośrodku ciągnęła się połyskująca, metrowej szerokości szyna. Bez wątplenia była to kolej magnetyczna, a on, Kears, znajdował się w jednej z nisz remontowych.

A jednak dał radę, i to samodzielnie, bez cudzych rad, podszeptów czy rozkazów - to chyba czegoś dowodzi.

Z prawej dał się słyszeć narastający świst. Zamigotało mu przed oczami, fala zgęszczonego powietrza szarpnęła nim tak gwałtownie, że ledwie zdołał przytrzymać się oderwanej kraty. Przemykały jakieś kształty o niewyraźnych konturach, wicher miotał nim na wszystkie strony - wszystko to trwało zaledwie moment, po czym wróciła cisza.

„No tak, ślicznie - pociąg przejechał...”

Poczuł się nadspodziewanie rześko. Wróciły mu wszystkie siły, nawet te, których istnienia nigdy dotąd nie przeczuwał. Wypełniało go poczucie pewności, że wydostanie się stąd, choćby mu przyszło i dobę stawić na poszukiwaniu stacji. Nisze powinny być wszędzie, należy tylko ustalić odstęp pomiędzy pociągami, by nie dać się schwytać w pułapkę pędzącej trzysta kilometrów na godzinę maszynie.

Zaczął odliczać w myśli sekundy. Naliczył trzy razy po sześćdziesiąt, gdy usłyszał przybliżający się świst i cofnął się dalej, w głąb swego przełazu.

I znowu to samo od początku, i jeszcze raz... Pociągi przejeżdżały dokładnie co trzy i pół minuty.

„Świetnie, należy zatem biec półtorej minuty i natychmiast wracać, jeśli nie zobaczę niszy.”

Przeczekał jeszcze jeden pociąg i zauważył, że wagony szczelnie wypełniają całe światło tunelu, po czym skoczył. Dopadł szyny i zaczął biec - dziesięć sekund, dwadzieścia... Minuta, dwie... Zaczynało mu brakować tchu. Zorientował się naraz, że przegapił margines bezpieczeństwa - półtorej minuty. Wokół spokojnie połyskiwały zielonkawe ściany. Kears przyspieszył i ujrzał po prawej stronie ciemniejszą plamę. Zaledwie zdążył wcisnąć się w niszę, gdy nadbiegł pociąg wraz z nieodstępną wichurą, podstępnie usiłującą go wessać.

Cisza wróciła, zanim Kears zdążył ochłonąć.

„Czy jednak to nie zbyt wielkie ryzyko?”



Przyszło mu do głowy, że lepiej będzie biec bosy, pozostawił więc w niszy buty. Okazało się, że był to dobry pomysł, na następnym etapie zarobił nawet trzydzieści sekund, zrzucił więc jeszcze marynarkę, przekładając identyfikator do kieszeni spodni. Poczł się lekko, życie zaczęło się doń uśmiechać. Na następnych dwóch etapach na odpoczynek wystarczał mu już jedynie odstęp między dwoma pociągami.

Kryzys przyszedł na siódmym odcinku, opamiętał się jednak, dał z siebie wszystko i wpadł do niszy już przy akompaniamencie świstu nadjeżdżającego pociągu.

Czyjaś ręka chwyciła go za pas, mocno przytrzymując. Szamotał się, próbując się uwolnić, kątem oka widział jednocześnie przelatujące za jego plecami wagony, ręka wciąż nie zwalniała chwytu...

Dopiero gdy ścichł łomot pociągu, Kears zdołał się wyswobodzić i odsunąć krok dalej. Przed nim stała Niol.

Przez chwilę patrzyli na siebie w milczeniu.

- No proszę, jak ładnie - odezwała się dziewczyna. - A wie pan, ja nie wątpiłam, że jednak się spotkamy. Wszystko OK, co?

- Ale ma pani rączkę. - Kears uczył, że twarz jego rozplywa się w najzupetniej idiotycznym uśmiechu. Przyjrzał się dziewczynie - cała była wymazana smarami i niemal naga.

Czując jego wzrok na sobie, zachnęła się i wzruszyła ramionami.

- Zrzuciłam wszystko - kolczyki, buty, spodnie - żeby panu dać znać... Znalazł pan cokolwiek?

- Kurtkę, ale jak pani trafiła tu, na dół?

- Szukałam pana. Zabłądziłam i pomyślałam, że pan również będzie szedł w dół.

Jak ona to prosto mówi: „Szukałam pana”, jak gdyby na świecie nie istniał strach ani zdrada.

- Ponure miejsce, prawda? Przytaknął ruchem głowy.

- Pan pewnie nie wie, dokąd prowadzi ta kolej... Donikąd. W tych okolicach rozpoczęto budowę nowego miasta, potem jednak zabrakło kapitałów. Na dodatek nie wiadomo, kto nimi dysponował, bo cała informacja w pamięci komputerów jest zaszyfrowana i dostęp do niej mają tylko zainteresowane firmy. Doszło do tego, że nie wiadomo, gdzie podziła się dokumentacja, a jednak kolej, jak pan widzi, działa.

- Ale ktoś jej przecież używa? - zapytał Kears.

- Nikt, ale jest stały dopływ energii. Podobno nawet buduje się nowe odcinki. Te korytarze, w których oboje błędziliśmy to zaplecze techniczne... Ach, prawda, pański zegarek. Znalazłam go przy kolejce linowej.

Mignęła bransoletką na ręce.

- Pani jest wspaniała - powiedział Kears. - Mówiąc prawdę zacząłem już tu tracić głowę, ale pani jest wprost cudowna.

W nagłym porywie dziewczyna przytuliła się do niego i w tej samej chwili w ich uszy uderzył świst.

Huraganowy wicher, idący od pędzących wagonów, szarpał koszula Kearsa, starał się wyrwać go z objęć Niol. Macając na oślep, odnalazł wreszcie kratę i schwycił ją mocno. Gdy pociąg przejechał, Niol odsunęła się nieco.

- Te niszce nie są obliczone na dwie osoby - Powiedziała, oddychając głęboko. - Ile pan ma za sobą etapów? Ja przebiegłam dwa; jeżeli pan zrobił dłuższą drogę, to pójdziemy w tym kierunku dalej. Pan pierwszy, a ja przeczekam trzy zestawy i za panem.

Stacja pojawiła się na piętnastym etapie. Na gładkiej ścianie wyrósł wąziutki występ peronu, pod który Kearsowi udało się schować akurat w tym momencie, gdy w dali zmaterializował się, zbliżył i zatrzymał kolejny pociąg.

Peron powitał go lśnieniem niezliczonych zwierciadeł oprawnych w sztuczny marmur, nieruchome odbłaski rozświetlały pokrytą geometrycznymi deseniami podłogę. Pośrodku obszernej hali wznosiła się ku górze bliźniacza para zastygłych w bezruchu schodów ruchomych. Kears stanął u ich stóp i podniósł oczy - szczyt schodów ginał gdzieś wysoko w nieodgadnionej dali. Na samą myśl o pieszej wspinaczce rozboleły go wszystkie mięśnie.

Tuż obok widniały w ścianie uchylone drzwi, spoza których dochodził nieokreślony hałas. Po wejściu do wnętrza Kears znalazł się w sztucznej jaskini o nierównych, poszarpanych ścianach. Kilka kroków zawiodło go na metalową platformkę, skąd otwierał się widok na ziejącą, skąpo oświetloną jamę.

Po jej dnie, wzdychając i postępując, poruszał się jakiś stwór mechaniczny. Z gęstwiny jego metalowych wnętrzości wysunęły się długie szczypcy, wgryzły w skałę, po czym na powrót cofnęły. Maszyna wykonała zwrot i odjechała, znikając z pola widzenia Kearsa, po chwili jednak powróciła, by rozpocząć od nowa ten sam cykl pracy. Porzucona tu i nikomu niepotrzebna, żywo przypominała rzymskiego niewolnika, na wieki przykutego do pracy w mrokach kopalni srebra. Kears uczył coś w rodzaju litości. Maszyny napotkane w czasie jego tułaczkę korytarzami podziemnego labiryntu mogły przynajmniej pogwarzyć ze sobą, nie mówiąc już o luksusach, w jakich pławią się tam, na górze, komputery zamieszkujące jasno oświetlone, klimatyzowane pomieszczenia, ta zaś nieszczęsna. maszynka-niewolnica ryje się tutaj w błocie, skazana na samotność.

Wzdrygnąwszy się, Kears zawrócił i ponownie podszedł ku schodom.

- Hallo!

Tuż za nim stanęła dziewczyna, zadartym podbródkiem wskazując w górę.

- Wyobraża pan sobie, jak to wysoko? Co najmniej kilometr i do tego te wysokie stopnie... Proponuję przejechać się do drugiej stacji - nie mamy nic do stracenia, a tak przynajmniej trochę się rozejrzemy.

Jeden i nieskończonego szeregu pociągów o przezroczystych całych ze szkła, metalu i sztucznej skóry wagonach otwierał właśnie przed nimi swe drzwi i cichutkim, zapraszającym szumem, z ulgą rozparli się na miękkich siedzeniach, podczas gdy pociąg błyskawicznie nabierał szybkości.

- Przespałabym się - marzycielsko westchnęła Niol. - Wie pan, ile czasu już tak błądzimy? Osiem godzin. Spotkaliśmy się na korytarzu o jedenastej, a teraz jest siódma... Ciekawe, czy zbliżamy się do

naszego miasteczka, czy też oddalamy od niego? Chociaż właściwie jedyne, co ważne, to wydostanie się na powierzchnię.

Kears nie mógł uwierzyć, że to dopiero osiem godzin - zdawało mu się, że miesiące całe upłynęły od chwili, gdy zatrzymał swój wóz u przejazdu kolejowego. Cywilizacja techniczna oszałamiała go, po raz pierwszy odkrywając przed nim swe prawdziwe oblicze.

- Jakie to dziwne - odezwał się. Kolej sama dla siebie, nikomu niepotrzebna. Kiedy zawali się ta nasza cywilizacja dobrobytu, tunel pozostanie jako pomnik bezsensownej pracy. Takie prace to, nawiasem mówiąc, również forma ujarzmania społeczeństwa - coś w rodzaju współczesnej piramidy Cheopsa. Gdyby ich nie podejmowano, nikt nie żyłby w niedostatku... Zdziwiający paradoks: każdy element jest ekonomicznie uzasadniony, przynosi przecież zyski, a całość psu na budę się nie zda.

- Tu przecież ludzie nie pracowali - Niol uniosła palec. - To znaczy praca ludzka jest, ale głęboko ukryta, u samego źródła. Ta kolej natomiast była projektowana i budowana niemal bez udziału człowieka. Teraz rozwija się już sama z siebie, rośnie, omija przeszkody. Co więcej, nikomu nawet nie wiadomo, skąd czerpie energię - kiedyś, oczywiście, wiedziano, ale potem ktoś umarł, kogoś tam przeniesiono i nagle okazało się, że znacznie prościej pozwolić jej na samodzielność, niż szukać źródeł energii. Kolej rozwija się przecież siłą inercji, a poszukiwania przez fachowców drogi by kosztowały.

- No, a jeśliby coś uszkodzić? Spowodować wybuch w jakimś newralgicznym punkcie?

- Po pierwsze to czyjaś własność. Co prawda, przez ten potworny bałagan, nie wiadomo, czyja. Poza tym ona sama naprawia się. A jeżeliby nawet, to kto to robi? Pan ani ja nie przyjdziemy tu przecież z dynamitem. Prościej więc nie zwracać na nią wcale uwagi, tak jakby była jednym ze zjawisk przyrody ... I tak jest już całkowicie stracona i zapomniana. Ludzie w naszym oddziale nie posiadają się ze zdumienia, gdy się dowiedzą, że nią jeździłam.

Pociąg zwolnił i przystanął. Drzwi rozsunęły się, ukazując peron równie czysty i bezludny jak poprzednio, halę wypełniał jednak radujący ich uszy głuchy szum - schody działały. Wznosiły się one na obu krańcach peronu - te po prawej sunęły ku górze. Niol i Kears stanęli na stopniach i poczęli się unosić, pozostawiając w dole szybko malejące geometryczne desenie posadzki. Niebawem oboje przysiedli na stopniach.

- Powiada więc pan: wysadzić w powietrze - dziewczyna nawiązała do przerwanej rozmowy. - Jeżeli jednak nie przemyśli się wcześniej konsekwencji, może to być nawet bardzo niebezpieczne. Gdzie podzieje się ta ogromna nadwyżka energii? Tu wybuch, a tymczasem w Megapolis mogą się rozstroić jakieś istotne dla życia miasta systemy albo zdarzy się coś całkiem nieoczekiwanego, w rodzaju, bo ja wiem, kryzysu walutowego. Jeden z moich przyjaciół uważa nawet, że do technologii w ogóle powinniśmy przestać się wtrącać, ma ona już bowiem swoje własne łańcuchy i cykle ekologiczne. Na przykład u nas dwa lata temu wszystkie poziomy instytutu zostały naraz pozbawione wody. Cała maszynaria w porządku, żadnych przecieków, tylko wody nie ma. Zebrała się komisja, radziła całą dobę, a tymczasem woda pojawiła się znowu - sieć sama się naprawiła.

- Morał z tej historii - wtrącił Kears - wyrazić można chyba tak, że technikę rozwijać należy jedynie dotąd, dopóki daje się ona kontrolować, i ani kroku dalej.

- To fakt... A weźmy specjalistów - większość z nich pracuje, nie mając zielonego pojęcia, czemu właściwie służy ich praca. Gdy firma przyjmuje nowego człowieka, zapoznaje się go tylko z jego podstawowymi obowiązkami, ale żeby mu powiedzieć dlaczego będzie robić to czy tamto - o nie, tego nie zrobią; raz powiedzą, że zabrałoby to zbyt wiele czasu, kiedy indziej zasłaniają się tajemnicą albo mówią, że to za bardzo skomplikowane - jednym słowem, bzdury. Tak dłużej być nie może, wszystkim to już zbrzydło.

Jechali już osiem minut. Końca ani początku ruchomych schodów nie było widać, ustało również wrażenie ruchu. O tym, że jednak ustawicznie wznosili się w górę, przekonać się mogli jedynie wyczuwając ręką umykanie gładkiej ściany lub drżenie stopni.

- Głodna jestem jak wilk - odezwała się dziewczyna. Spojrzała na Kearsa. - Warto by do jakiej restauracji... A tak przy okazji, chyba już czas, żeby pan mi się przedstawił...

- Les... A raczej Setera Kears.

- Jak to?... Setera przecież...

- Widzi pani, jakby to powiedzieć...

- Ach, już rozumiem, wymieniliście się, ale to pan urodził się jako Setera Kears, prawda?

- Hhm... Wolałbym jednak, żeby nazywała mnie pani Lesem - z tym imieniem bardziej się zżyłem.

- Niech będzie Les - miło mi pana poznać. A wie pan, od razu przy pierwszym spotkaniu wydał mi się pan podobny do Hagenauera.

- A któż to taki?

- To był przyjaciel rodziny Mozartów, cichy, skromny człowiek. Zawsze pożyczał im pieniądze, choć nigdy mu nie oddawali. Przeczytałam niedawno biografię Wolfganga Mozarta i stąd te skojarzenia. Ciągle mi chodzi po głowie temat z Trzydziestej Ósmej - pamięta pan?

W tym otoczeniu imię Mozarta brzmiało dziwnie obco i nierzeczywiście.

- Pan pewnie nie potrafi długo się gniewać na kogoś?

- Raczej tak... A pani sądzi, że to zła cecha?

- Skądże, wprost przeciwnie, ja sama taka jestem. Często się złoszczę, ale przechodzi mi to bardzo szybko.

Wstali oboje, gdyż w oddali pojawiło się ujście tunelu. Spłaszczające się stopnie z głuchym warkotem znikwały kolejno pod grzebieniastym progiem. Les i Niol uczynili z rozpędu jeszcze parę kroków i zatrzymali, rozglądając się wokół. Znajdowali się w wysokiej, okrągłej sali o ścianach udających czerwony marmur. Koszmar powrócił, gdy spostrzegli, że Jest to pułapka - ogromne wrota zawałone były po sam szczyt piaskiem.

Twarz dziewczyny zachmurzyła się.

- No tak, wpadliśmy. - Obejrzała się na bezustannie biegnące schody. - Wygląda na to, że odwrót nie będzie zbyt łatwy.

I w samej rzeczy, bezduszna tępota mechanizmu, która tak była korzystna przy Jeździe w górę, nabierała teraz złowrogiego oblicza. Schodząc pod prąd, trzeba by było liczyć się z tym, że każda chwila odpoczynku czy nawet wahania odbije się niepowetowaną stratą.

Na moment przed oczami Lesa pojawił się znów labirynt pełnych kurzu korytarzy, kłębowiska rur - nie, tylko nie to.

Rzucił się ku górze piasku.

- Piasek jest sypki. Musimy kopać, a na pewno odnajdziemy wyjście. - Darł się ku górze, obruszając przy każdym kroku miniaturowe lawiny. Piasek w głębi był rzeczywiście wilgotny. Les rył się w nim zapamiętale, urobek płynął szeroką strugą. Wkrótce pojawił się mały, szybko jednak rosnący otwór, z którego zaczęło się sączyć świeże powietrze, a w ślad za nim lunął potok dziennego światła.

- Tu, do mnie! Prędziej!

Pomagając sobie nawzajem, precyzyjnie przeszli przez szczelinę pod odrzwiami i wydostali się na dno niewielkiego, piaszczystego krateru. Nad nimi otworzyło się wieczorne, ale wciąż jeszcze pełne światła, nieskończenie głębokie niebo.

Stali na skraju leja. Przed nimi, jak okiem sięgnąć, rozciągał się pierwotny chaos wielkiej budowy - rowy, przewrócone dźwigi, stosy żwiru i betonowych płyt zaścielały ziemię aż po horyzont, nie zostawiając miejsca dla najmniejszego bodaj krzaczka.

- Coś wspaniałego - odezwała się Niol.

Les obrócił głowę i omal nie stracił równowagi, tak wielkie ogarnęło go zdumienie. Nie dalej niż o sto metrów od nich anemiczny błękit nieba przecinała skosem ogromna wieża, podparta z jednej strony pasmem lasu; ta sama wieża, którą ujrzeli z drogi jeszcze z samego rana. We wszystkich oknach tajemniczej budowli jarzyło się jasne światło.

- To hotel - Niol przestąpiła z nogi na nogę. - Słowo honoru. Słyszałam, że go zbudowano, choć nie ma miasta.

U wejścia, na wspaniałym, choć również nieco przechylnym podjeździe stał młody mężczyzna, patrząc bez uśmiechu na zbliżających się ludzi. Jego mocno opalona twarz, jak gdyby wyciosana z ciemnego kamienia, zwracała uwagę niesamowitą wyrazistością nieruchomych rysów. Indywidualność rysowała się na niej ostro, w niemal namacalny sposób.

- Dzień dobry - powiedziała Niol. - Uciekliśmy, żeby nie trafić w Procedurę. Czy moglibyśmy tu odpocząć?

- Oczywiście. - Mężczyzna odziany był w dziwny strój, składający się z czegoś w rodzaju koszuli wykonanej z szorstkiego, szarawego materiału i takichże spodni. Na nogach miał niezgrabne, bezkształtne buciory. - Hotel do waszych usług. Jestem tutaj stróżem, a praktycznie i gospodarzem... A skąd się wzięliście?

- Z kolei podziemnej.

- Z kolei? To gdzieś blisko?

- Jasne - tam, gdzie ten lej.

Mężczyzna popatrzył w kierunku wskazanym przez Niol. Z bliska widać było, że nie tryska zdrowiem, jak mogło się początkowo wydawać. Oczy okalały mu czarne obwódki - widomy znak rozstroju nerwowego lub chronicznego niedospania.

- Masz ci los - powiedział - dopiero co wyruszyła na pustynię ekspedycja w celu jej poszukiwania.

- Na jaką pustynię?

- A na tę! - mężczyzna wskazał na horyzont. - Trzy dni kręcili się tu ze swoją aparaturą, a na tę stronę nawet nie zajrzeli... No, chodźmy - musicie się przebrać i umyć, a ja wam zrobię coś do jedzenia.

Hol swoim ogromem przypominał gotycką świątynię lub hangar małej rakiety. Ściany wyłożone były aluminiowymi płytami koloru starego złota, strop podierały rzeźbione kolumny z kolorowego betonu. Podłogę, pokrytą imitacją ciemnobrązowego parkietu, wypełniały sprzęty w fantazyjnym, pseudobarokowym stylu.

Całe wnętrze odchyłało się od pionu o jakieś piętnaście stopni, trzeba więc było iść podginając jedną nogę, jak po spadzistym dachu.

- Hotel montowano na ziemi w położeniu leżącym - wyjaśnił dozorca. Nie zdołano go dociągnąć do pionu, gdy wszystko się skończyło, urządzenia jednak funkcjonują.

Weszli do skośnej windy i mężczyzna nacisnął guzik.

- Umieszczę was na piętnastym piętrze, bo tylko tam mam przygotowane świece.

- A po co komu świece?

- W systemie oświetlenia coś się poplątało. Światło świeci się w dzień, a jak tylko nadchodzi zmierzch, wszystko gaśnie. - Mówiąc mężczyzna skromnie odwracał oczy od niemal nagiej Niol.

- Staralem się to naprawić, ale nie udało mi się.

- Czyżby pan był sam jeden w całym hotelu?

- Od ośmiu lat. Pracy tu, co prawda, niedużo - sprzątanie automatyczne, a bielizna i naczynia jednorazowego użytku. - Spojrzał podejrzliwie na Lesa i dziewczynę. - Bierzecie wspólny pokój czy oddzielne?

- Dwa oddzielne - powiedziała Niol. - Tylko wie pan, jakoś tak wyszło, że oboje jesteśmy bez grosza...

- To nie ma znaczenia. Jak już mówiłem, choć dookoła pusto, wszystkie urządzenia funkcjonują, działa również zaopatrzenie, nie brak więc jedzenia, a nawet towarów w naszym sklepie. Pół dnia marnuję, żeby to wszystko zakupywać i palić, ale firma, do której hotel należy, nie ma zamiaru go zamknąć tylko dlatego, że brak gości.

Ściany pochyłego korytarza przyozdobione były zawitym, wypukłym, białym ornamentem na błękitnym tle.

- Dziś kończy doroczną kontrolę komisja z KZHR-u. Moglibyście zjeść kolację razem z nimi, ale tam będą tylko konserwy. - Dozorca popatrzył na Niol. - Mogę wam również przygotować świeże warzywa lub mięso. Co wolicie?

Dziewczyna westchnęła.

- Obojętne co, byle szybko.

- No, to zjecie z komisją. Poproszę ich, żeby poczekali, i dostawię jeszcze dwa nakrycia w sali plażowej  
- to na tym samym piętrze.

Pokój, do którego mężczyzna zaprowadził Lesa, był dwuosobowy. Z okna rozciągał się rozległy widok na pustynię. Przy przeciwległej ścianie stały dwa łóżka rozdzielone nocną szafką - zapewne to dozorca przestawił je tam, by nadać im wzdłużny, a nie poprzeczny przechył. Nad szafką, na której stała szara świeca w prymitywnym lichtarzu, widniało wbudowane w ścianę akwarium, w którym melancholijnie snuły się czerwone rybki. Odkrywszy w łazience bezlik szorstkich, włochatych ręczników, Les aż zajęczał z rozkoszy. Co prawda, ze względu na przechył wanna dawała napełnić się zaledwie w jednej trzeciej i Les już to niemal tonął, już to wynurzał się całkowicie, nie miało to jednak wielkiego znaczenia.

Gdy wykąpany i rozgrzany powrócił do pokoju, znalazł tam bezwymiary niebieski kombinezon wraz z parą takich samych butów. W tej samej chwili do drzwi zastukał dozorca.

- No jak, pasuje?... Dziewczynę wpuściłem do sklepu, żeby sama sobie wybrała ubranie. Jak ona się nazywa?

- Ona? Niol.

- Urocza dziewczyna. Ja nazywam się Gregor.

- Miło mi - Les.

Uścisnęli sobie ręce - Les odniósł wrażenie, jak gdyby wsunął palce w stalowe kleszcze - i wyszli na błękitny korytarz.

Zachodzące słońce barwiło na złotoróżowo alegoryczne ryby i trytony na ścianach - wystrój tego piętra nosił wyraźnie morski charakter.

Choć szli powoli, Les, nie przyzwyczajony do przechyłu, ustawicznie wpadał na swego towarzysza.

- Gdyby iść tak ciągle w jednym kierunku - odezwał się Gregor - zmieniłoby się poczucie pionu, ale ja, chodząc wciąż tu i tam, już nawet nie zauważam przechyłu.

- Nie smutno panu bez ludzi?

- Bez ludzi? - dozorca niespodziewanie zatrzymał się, przytulił do ściany i, oparłszy o nią głowę, zamknął oczy. Trwał tak zaledwie przez chwilę. - Co pan powiedział?

- Pytałem, czy nie nudno tu panu samemu?... Czy pan przypadkiem nie chory?

- Dlaczego? Po prostu zasnąłem. - Mężczyzna potrząsnął nierówno podstrzyżoną jasną czupryną. - Nie, nie nudno. Mam swoje zajęcia, no, a przede wszystkim - swobodę.

- Często pan bywa w mieście?

- Od czasu jak tu jestem - ani razu.

- Ale jest tu przecież droga czy w ogóle jakakolwiek łączność z miastem?

- Droga była. Zaczęto ją właśnie poszerzać, gdy wszystko się skończyło. Teraz przejechać tam nie sposób - wszystko pozagradzane i rozkopane. Dlatego właśnie nasza firma przeszła na transport powietrzny. Będzie tak, dopóki komputer nie wyczerpie programu, ale kiedy to nastąpi, nie wie nikt. Komisję również powinien odebrać helikopter - przyjechali tu tylko na trzy dni.

Przed nimi pojawiła się Niol w czerwonej aksamitnej kreacji. Otaczała ją woń perfum, oczy błyszczały z podniecenia.

- Zupełnie jak w bajce. Nigdy jeszcze nie widziałam takiej obfitości. I pan to naprawdę ciągle niszczy?

- A co mogę zrobić innego? - Gregor wzruszył ramionami. - Trzeba zwalniać miejsce dla nowych transportów. Dzikie plemiona z pustyni przychodzą tylko po żywność, innych towarów nie chcą brać.

- Dzikie plemiona?

- Tak. Są trzy, o ile mi wiadomo - jedno osiadłe i dwa koczujące. Osiadłe bierze najwięcej żywności, no ale jest ono i najliczniejsze. Prócz tego, że nazywają siebie Kanon, niewiele mogę o nich powiedzieć - nigdy się tym specjalnie nie interesowałem.

Sala plażowa w istocie przypominała plażę - pokryta żwirem i kamyczkami podłoga przechodziła stopniowo w pasmo piasku, na suficie świeciło uplecione z neonowych rurek słońce. Pośrodku pomieszczenia tryskała fontanna. Błękitna woda rozlewała się w sadzawkę i znikła w odpływie pod ścianą.

Za długim stołem, sącząc glutaminowe koktajle, siedziała czteroosobowa komisja. Na widok gości jeden z nich, tłuścioch, skwapliwie poderwał się z miejsca i uprzejmie przedstawił:

- Jesteśmy z KZHR-u. Krajowe Zrzeszenie Hoteli i Restauracji.

- Inspekcja z TDK - chwacko odpaliła Niol. - Dokładniej TDK i ZPT. Nie podlega rozszyfrowaniu.

Tłuścioch ze zrozumieniem skłonił głowę.

Na przekąskę podano tradycyjny, całkiem nawet pikantny syntetyczny kawior. Usługiwał im Gregor, wyjmując z otworu dyspozycyjnego kolejne dania. Był on jedyną osobą nie biorącą udziału w biesiadzie. Les zauważył, że od czasu do czasu opierał głowę na rękach i zasypiał. Czarne kręgi pod jego oczami stały się jakby jeszcze bardziej wyraźne. Zbędne nakrycia wrzucali wszyscy do wody, w której rozpuszczały się bez śladu. Przechył budynku nie ułatwiał siedzenia, trzeba było zapierać się jedną nogą, by nie spaść z krzesła, szklanek również nie można było napełnić.



Jedli w milczeniu, póki nie zaspokoili pierwszego głodu.

Pierwszy odezwał się tłuścioch, podsuwając Lesowi półmisek ze sztucznymi kartoflami.

- Zwrócił pan uwagę na ornamenty w korytarzu? Sprawiają wrażenie wypukłych, ale w rzeczywistości jest to druk polifotograficzny. Podłoże cieńsze od papierosowej bibułki - rulon na pokrycie jednej ściany ważył zaledwie siedemset gramów.

- A moja duma - podchwycił drugi - to system ogrzewania. Rury bez najmniejszego szwu, wyobraża pan sobie?

- No tak - zaczął Les. - Ale ten prze...

Urwał, widząc rozwarte szeroko oczy Niol. Dziewczyna pospiesznie przełknęła i włączyła się do rozmowy.

- Wspaniałe rury. Nie widziałam ich co prawda, ale wierzę panu na słowo.

- Jakikolwiek przecieki absolutnie wykluczone. - Człowiek, który szczycił się systemem ogrzewania, odruchowo przytrzymał ześlizgującą się ze stołu szklankę.

- Jako przedstawiciel nadzoru architektonicznego - zaczął trzeci - mogę stwierdzić, że dokumentacja prac remontowych jest doskonała.

Gdy ponownie znaleźli się na korytarzu, Niol gwałtownie obróciła się do Lesa.

- Co pana skłoniło do takich pytań podczas kolacji?

- To przecież czysty obłąd rozprawiać w takiej sytuacji o rurach czy ornamentach.

- A to dlaczego? To przecież ich praca, a poza tym nie wiedzą kim my jesteśmy, i dlatego mogą się wydawać durniami. W innych okolicznościach sprawialiby na pewno lepsze wrażenie. Oni po prostu muszą dostosować się do rytuału.

- Tak... Być może, ma pani rację.

- A oprócz tego ten tłuścioch sam prawdopodobnie jest wynalazcą i konstruktorem ściany. Przydałoby mu się choć słowo uznania, tym bardziej że jego dzieło trafiło w takie odludne miejsce. - Niol dotknęła białej linii ornamentu. - Niech pan popatrzy, to rzeczywiście jest płaskie.

Les próbował uchwycić w palce to, co wydawało się być stiukowym reliefem, ręka jego dotknęła jednak zupełnie gładkiej ściany. Cofnął rękę i złudzenie natychmiast powróciło.

- Diabli wiedzą, co to.

- No, pięknie. - Niol zdusiła ziewnięcie. - Pójdziemy chyba spać, co? Wracając będziemy musieli piechotą na przełaj przez pustynię. Rozmawiałam z naszym gospodarzem - przypuszcza, że do miasteczka jest jakieś trzydzieści pięć kilometrów, będziemy więc musieli wyjść o wschodzie słońca. Niestety, nie ma kompasu, ale mówi, że nie zbłądzimy, jeżeli będziemy iść wprost za słońcem. Lepsze to w każdym razie niż z powrotem do tunelu.

- Tego by tylko brakowało.

- No więc dobranoc.

Zaledwie jednak Les wygodnie rozciągnął się na łóżku i począł zapadać w niebyt, gdy poczuł, że ktoś go szarpie za ramię. Przy łóżku stał Gregor.

- Proszę wybaczyć...

- Mhrn...

- Stukałem, ale pan nie odpowiadał.

- Tak, a o to chodzi?

- Nie zechciałby pan obejrzeć mego gospodarstwa? Chętnie pokażę.

Les podniósł się, zataczając i nie bardzo zdając sobie sprawę z tego, czego od niego chcą. Z żalem obejrzał się na wygrzane zagłębienie w pościeli.

- No dobrze, chodźmy. To znaczy, chciałem powiedzieć, że z przyjemnością.

Przy windzie dozorca zatrzymał się.

- A może byśmy zaprosili Niol?

- Bardzo proszę.

- Nie mógłby pan zastukać do niej? Powiedzieć?

- A czemu pan nie chce sam tego zrobić?

Wyrazista twarz Gregora poczerwieniała pod opalenizną, opuścił oczy.

- Krępuję się. Niemal nie stykam się z kobietami, a co dopiero taka dziewczyna jak ona...

- A-ha... No dobrze.

Niol jeszcze nie zdążyła się położyć i ku zdziwieniu Lesa przyjęła zaproszenie bez żadnych oporów.

Słońce zniżało się już ku zachodowi, gdy w trójkę opuszczali podjazd. Ogromny cień budynku przełamywał się na grudach błota. Wieczorny wietrzyk igrał kartkami jakichś zapomnianych planów.

Les i dziewczyna, idąc w ślad za dozorcą, obeszlili hotel dookoła. Gregor skakał po betonowych rumowiskach jak góral od dziecka zżyty ze stromymi perciami. Minęli cały las na poły rozwalonych ceglanych kolumn, później drogę zastąpiło im kłębowisko dźwigów, wśród których zetlałe przewody wiły się jak węże.

Wdrapawszy się na koniec na szczyt łańcucha żwirowych wzgórz, Les i Niol zamarli w zachwycie. Les zdołał jedynie wyszeptać:

- A to ci dopiero!

Prostokątna kotlinka o boku nie większym niż pięćset metrów tonęła cała w zieleni. Dywan roślinności na pierwszy rzut oka zdawał się być jednolity, po chwili jednak, przywyknąwszy, zaczęli rozróżniać tu łączkę, tam zagajnik, bezładne, dzikie zarośla lub starannie uprawiony ogród. Mniej więcej pośrodku działki wznosił się ku niebu cienki komin, usztywniony linami, tuż obok zaś czerwieniał dachówką niewielki domek. Wypisz wymaluj co najmniej dwustuletnia chłopska zagroda - wrażenia nie psuł nawet komin pomalowany na delikatny, jasny kolor.

- Oaza pośród pustyni. - Niol pokręciła głową.

- Proszę spojrzeć na mnie - szybko odezwał się Gregor, korzystając z wrażenia, jakie wywarł na nich uroczy widok. Rozchylił szeroko kołnierz swego niezdarne odzienia. - Choćby ta koszula, całkowicie własnego wyrobu. Wyhodowałem bawełnę, uprząłem nici i utkałem materiał... Albo te buty i wie pan, z czego zrobione? Ze skóry.

- Pewnie, że ze skóry. - Niol ze zdziwieniem popatrzyła na niezgrabne buciory. - Prawdopodobnie balsamit albo jakaś inna węglpochodna.

- W tym rzecz, że nie. Po prostu skóra.

- Widzę, że skóra ale z czego?

- Ze świni. Świńska. Znalazłem stary przepis na garbowanie i sam wyprawiłem. Na mnie nie ma niczego sztucznego - to moja zasada...

Wkroczyli w zielone królestwo. Powietrze pełne było ostrego, upajającego zapachu lipy i sosny. Na ich oczach z kwiatka sfrunęła duża, ciężka pszczoła i brzęcząc utonęła w gęstwinie liści. Przy pniu jednej z sosenek wznosił się rudy pagórek z igieł, pokryty ruchliwymi kropkami.

- Mrowisko - wyjaśnił Gregor. - Tam dalej jest jeszcze jedno. W ogóle owadów mam mnóstwo. Bez przechwałek. Są tu nawet szkodniki - bielinki kapustniki, owocówki... Co prawda trudno je odszukać. Chciałem na zagonie kartofli wyhodować stonkę, ale nie ma jej skąd wziąć - wyniszczona na całym świecie. Chyba tylko w wojskowych laboratoriach zachowały się małe ilości.

- Po co panu stonka? - zapytał Les.

- Dla naturalności... A to pole pszenicy - mówiąc nawiasem, na czystym czarnoziemiu. Wie pani, skąd go mam? Sam zrobiłem, własnymi rękami. W tych okolicach nie było w ogóle naturalnej gleby - wszystko przemieszane ze żwirem, betonem, cegłą. Dlatego rozpocząłem od pokrycia całej kotliny kłaczkami wełnoplastu, zmieszanych z piaskiem i gliną. Wysiewałem lucernę, trzy łąta pod rząd podlewałem roztworem fosforu, potasu, azotu, kosiłem cały plon i zostawiałem na miejscu. Potem zacząłem sadzić krzaki i różne takie - teraz warstwa próchnicy ma już dziewięć centymetrów.

Weszli do sadu. Wiśnie były gęsto pokryte owocem, gałęzie jabłoni kłoniły się ku ziemi, trawa pod nimi była usłana spadami.

- Podoba się pani? - Gregor zwracał się wyłącznie do dziewczyny. - Proszę, niech pani je. Sama pani widzi, że tu wszystko się marnuje.

- Dziękuję. - Niol podała jabłko Lesowi i sama zerwała drugie.

- Tak, proszę jeść... Widzi pani, gdy człowiek posadzi sad, ma już przynajmniej pewność, że tlen, który on sam pobiera z powietrza, wyprodukowany został przez wyhodowane przezeń rośliny. Najważniejsze jednak, że jestem zupełnie samowystarczalny. Jeżeli ów komputer przestanie naraz obsługiwać hotel i dowozić tu żywność, jeżeli ta cała nasza cywilizacja techniczna naraz rozpadnie się w gruzy, ja tu dam sobie doskonale radę.

- A panu wydaje się, że ona się już rozpada?

- Nic mi się nie wydaje, po prostu chcę być samowystarczalny. Proszę wyobrazić sobie: dawniej ludzie byli zależni od przyrody w znacznie mniejszym stopniu niż teraz my od techniki, coś im nie wychodziło, to brali się za co innego. Powiedzmy jakieś dziesięć tysięcy lat temu, w paleolicie, gdy komu pola nie obrodziły, mógł wyżyć z polowania, a jeśli zwierząt brakowało, zawsze pozostawały jeszcze korzonki, grzyby, no, bo ja wiem - żaby. No, a teraz?... Przypuśćmy, że przestają pracować wodociągi albo na przykład kanalizacja - nie twierdzą, że to się stanie naprawdę, są przecież zabezpieczenia, ale przypuśćmy - co wtedy? W ciągu miesiąca zginą miliony ludzi. Aż strach pomyśleć, że życie ludzkie może zależeć od sprawności rury wodociągowej... A tu na mojej działce jest nie tylko strumień, ale i wkopana w ziemię cysterna.

- Och, patrzcie! - Nioł wskazała coś ręką. - Mickey Mouse!

Małeńkie zwierzątko stało słupka pomiędzy źdźbłami trawy, węsząc ostrym noskiem, po chwili jednak zwinęło się w kulkę i umknęło.

- Myszy tu dużo - powiedział Gregor z dumą. - Raz nawet udało mi się wyhodować szczury. Zaraziłem się od nich riketsjozą i o mało co nie umarłem... O czym mówiliśmy? Aha, o samowystarczalności.

Zbliżyli się teraz do aluminiowego komina wznoszącego się na dwadzieścia metrów w górę. Po jego betonowym fundamencie spętał w głąb ziemi gruby kabel.

- Najważniejsza rzecz to źródło energii. Wewnątrz tej rury ze względu na różnicę temperatur u góry i u dołu istnieje nieustanny ruch powietrza. Zainstalowałem tu silnik i generator mogą więc robić, co dusza zapragnie - pompować wodę czy zasilać traktor. Ponadto całe to urządzenie jest niezależne od pogody... Jeżeli wytrą się szczytki, mam całą skrzynkę zapasowych, wytopione łożysko też będzie czym zastąpić... Co do żywności, to moje gospodarstwo daje mi dziesięć razy więcej mąki, warzyw czy owoców, niż jestem w stanie sam zużytkować, prócz tego zaś jest tu również oranżeria i staw z karpiami, a w piwnicy - hodowla pieczarek. O świniach już mówiłem, a mam jeszcze sześć krów i dwadzieścia owiec. Wszystko tworzy zamknięty obieg - gdyby mnie odizolować od świata, nakryć kopułą, mógłbym egzystować dowolnie długo.

Gregor rzucił zwycięskie spojrzenie na Lesa.

- A pan by chciał, żeby nakryto pana kopułą?

Dozorca zasępił się.

- Nie wiem... Chodźmy teraz do domu.

Dom był obszerny, dwupiętrowy. Gregor snuł opowieść o tym, jak wyrabiał ognioodporną cegłę, jak samotnie borykał się z trudami murarki. Zachowanie jego stawało się coraz bardziej nerwowe, ani

chwili nie mógł ustać na miejscu. Nieruchoma dotychczas twarz ożywiła się, oczy błyszczały z podniecenia.

- A oto syntetyczne mleko - bańki po sto kilogramów... Z początku zanośm tu żywność z hotelu, a teraz zastępuję ją stopniowo tym, co sam wyprodukuję. Zapasy mleka wystarczą co najmniej na trzy lata. - Schwycił w ręce ogromny kosz i lekko jak piórko przeniósł go z jednego stosu na drugi. - Tu pod mlekiem sojowe mięso, a tam w kącie wieprzowe szynki własnego wyrobu. Opakowania są na razie sztuczne, ale planuję i to zmienić. Cel jest prosty - należy zawładnąć wszystkimi umiejętnościami. Podział pracy - oto, co pozbawiło człowieka samowystarczalności. U mnie będzie inaczej - jeśli potrzebny mi będzie przewód, nauczę się wyciągać drut, jeśli potrzebuję pilnika, uczę się go nacinać. Dzięki temu stałem się już niezłym garncarzem...

Les i Niol popatrzyli z podziwem na zgrabną glinianą beczkę. Powietrze w tym kącie piwnicy przesiąknięte było ciężkim duszącym zapachem.

- W tej kadzi topię tłuszcz na świece. - Gregor mówił coraz prędzej... - Za kadzią kołowrotek, a to krosna. Śruby odlewałem, a gwint nacinałem na tokarce. Warsztat stolarski na razie jest jeszcze z plastyku, ale gdy sosny podrosną, będę miał i deski...

Dozorca poruszał się już tak prędko, że trudno było za nim nadążyć. Otworzył teraz drzwi w ceglanej ścianie, za nimi ukazał się mroczny korytarz.

- To jest podziemne wyjście na zewnątrz, za wał żwiru, jeszcze nie ukończone. Mam zamiar otoczyć murem całe moje gospodarstwo...

- Po co to wyjście?

- Kto wie, co się może zdarzyć - zawsze to miło wiedzieć, że można wyjść niepostrzeżenie.

- A mur - dla ochrony przed dzikimi?

- No tak. Ci z Kanonu początkowo zakradali się do sadu, ale gdy ich postraszyłem, że przestanę dawać konserwy, przestali.

Z piwnicy weszli od razu na drugie piętro. Pokoje tu również były pełne zapasów, tym razem owoców i warzyw. Na podłodze piętrzyły się sterty grochu, suszonych jabłek, rodzynek, a wszystko pokryte grubą warstwą kurzu i mocno nadpsute. Spod samych nóg Lesa wyskoczył ogromny szczur. Dozorca iście zwierzęcym ruchem rzucił się w ślad za nim i zdołał pochwycić go za ogon, po czym rozbił mu głowę o ścianę i wyrzucił przez okno. Wszystko to zaszło w mgnieniu oka i po chwili już słuchali jego objaśnień dotyczących rozciągającego się z tegoż okna widoku. Widać tam było soczyste pastwisko ze stadkiem krów i gromadą wełnistych, spokojnie przeżuujących owiec.

Niemal trzecią część pierwszego piętra zajmowała kuchnia, w niej zaś jedna trzecia powierzchni przypadała w udziale ogromnemu palenisku z cegieł, przykrytemu żelazną płytą. Na płycie ustawiony był ultradźwiękowy piec.

- Na razie gotuję na elektryczności, gdy będzie paliwo, rozpalę pod płytą. Za to balia prawdziwa, taka, jak za dawnych czasów. Gospodyni będzie mogła prać w rękach, niech tylko rozruszam produkcję mydła... I ścierka do mycia podłogi prawdziwa, bawełniana.

Lęklonie popatrzyl na Niol.

- Jak pani podoba się kuchnia?

- Niezgorsza... - Dziewczyna wykrzywiła twarz w nieokreślonym grymasie. - Co prawda, nigdy nie próbowałam prac w ręku, ale to musi być interesujące.

Twarz dozorca rozjaśniła się.

Z początku Les był po prostu oczarowany gospodarstwem Gregora, stopniowo jednak zaczął odczuwać emanujące z psychiki gospodarza jakieś nieokreślone napięcie, a może nawet zło. Odnosiło się wrażenie, że oczekuje on z utęsknieniem światowej katastrofy, bo dopiero ona nadałaby jego kryjówce pełny sens. Gdzie jednak leżało źródło tego odchylenia - czy to kryjówka oddziaływała na charakter Gregora, czy też jego osobowość wycisnęła niezacieralne piętno na dziele jego rąk - trudno było powiedzieć.

Gregor zdawał się nie dostrzegać nastroju swych gości. Po prezentacji kuchni przeszedł do sypialni i pokoju dzieciennego.

- Proszę popatrzeć, wszystko przygotowane - kotyski dla najmłodszych, dla nieco starszych łózczka, a tu lekarstwa. - Otworzył ścienną szafę. - Najrozmaitsze, na wszystkie choroby.

- A gdzie dzieci? - zapytał Les. - No i w ogóle rodzina?

- Widzi pan... - Gregor zająknął się. - Po prawdzie nie ma. Jeszcze nie zdążyłem, ale będzie. To jest zaplanowane.

Dziwny był widok tego silnego, na swój surowy sposób dumnego mężczyzny, zakłopotanego naraz jak uczeń. Łypnął spode łba na Niol i powiedział:

- Myślę, że każdy by tu został z własnej woli. Oczywiście, będzie rodzina i będą dzieci - mnie samemu to wszystko na nic.

W następnym pokoju, którego ściany niknęły za szeregami książek, stał duży wymiarów telet, elektryczne pianino z przystawką cyfrową oraz biurko w towarzystwie paru krzesel.

- Tutaj zgromadzona jest cała kultura światowa. Przetrwaj, choćby świat zginął. Muzyka, literatura, sztuka... Na tej półce klasycy: Arystoteles, Eurypides, Dumas, Dostojewski, Szekspir, tam Byron, Seton-Thomson. Wszystkie książki papierowe, bo mini nie uznaję. W tym dziale albumy o sztuce - malarstwo, rzeźba, architektura - wszystkie kraje, ważniejsze style... a tu - dozorca przykucnął - wideokasety. Sześćset pięćdziesiąt filmów gotowych do odtworzenia; historyczne, komedie - do wyboru, do koloru. Natrudzisz się cały dzień przy robocie, a wieczorem możesz tu przyjść, poczytać, posłuchać muzyki i nie potrzeba ci nikogo, żadnego człowieka... Ot, na przykład coś takiego... - Z kasetą w ręku wlepił zdumiony wzrok w przestrzeń, gdzie obok Lesa. - A gdzie podziła się dziewczyna?

Les obejrzał się za siebie. Niol zniknęła.

Dozorca wyprostował się.

- Może została w pokoju dziecięcym?

Wyszedł, po chwili jego kroki załomotały po schodach.

- Nie ma jej w domu ani w sadzie.

- Zapewne poszła spać - powiedział Les. - Wie pan, my dzisiaj strasznie się zmęczyliśmy.

- Tak? - Gregor rozejrzał się w zakłopotaniu. Poprzednie ożywienie całkiem go już opuściło. Przygasał, a nawet jakby się najeżył. Kręgi pod jego oczami stały się jeszcze wyraźniejsze.

- To znaczy, że jej się tu nie spodobało - ale dlaczego? Jak pan myśli?

- No... Jak by to powiedzieć...

- Męczysz się, starasz i wszystko na próżno. - Trzymając wciąż kasetę w ręce, Gregor przysiadł na krześle. - Muszę przecież założyć rodzinę. Czy na zawsze mam pozostać samotny?

- To niech pan zakłada - kto panu broni?

- Jak zakładać, kiedy jej się nie spodobało? Poszła przecież.

- Niechże pan słucha. - Les zaczął wreszcie pojmować. - Przecież do dzisiaj pan jej nie znał.

- No to co? A dziś ją poznałem.

- Ależ pan... Taka znajomość to jeszcze nie wszystko, a oprócz tego... Czyżby tu nigdy nie bywały kobiety? Sam pan mówił, że przychodzą z Kanonu.

- Przychodzą - ponuro potwierdził Gregor. - Tyle że one wszystkie nieczyste. W tym plemienu panuje zupełna swoboda seksualna, są małżeństwa grupowe, szpikują się narkotykami. Żadna z ich kobiet nie chce pracować, tylko najeść się i od nowa to samo... Nioł spodobała mi się od pierwszego wejrzenia. - Dozorca podszedł do półek. - A jednak to dziwne - przecież jest tu wszystko, czego potrzeba człowiekowi.

- A pan sam je czyta?

- Co?

- Książki.

- Co to, żarty pan sobie stroi? Skąd miałbym wziąć czas i siły? Gdzie mnie do czytania, jeżeli od paru lat śpię po trzy godziny na dobę? Zbudować takie gospodarstwo! - Dozorca rzucił kasetę na stół i obrócił ku Lesowi potężne, pokryte gruzłowatymi odciskami dłonie. - ciągle sam. To przecież nie miasto, gdzie popracujesz cztery, pięć godzin, a reszta czasu twoja. Literzy już przestają rozróżniać, a pan mi o czytaniu. Paca na gospodarce wciąż - zrobię zapas czegokolwiek na rok, a już myślę - czemu by nie na dziesięć lat? Weźmy na przykład wodę - mam tu zbiornik na pięćdziesiąt tysięcy litrów. Najpierw musiałem buldożerem przygotować dla niego wykop, następnie odnalazłem sam zbiornik na pustyni i wlokłem go tu traktorem przez cały ten chaos. Za co by się nie wziąć, wszędzie robota. Głowa mi pęka, chodzę otumaniony z niewyspania. Z tych tu filmów nie widziałem ani

jednego, nawet do albumów nie zajrzałem. Czasem tylko tu przychodzę, by bodaj grzbietów dotknąć ręką.

- No cóż, dziękuję - odezwał się Les po krótkim milczeniu - i na mnie już chyba pora.

Dolinka tonęła już w cieniu, od ziemi ciągnęło chłodem i wilgocią. Przy polu pszenicy Gregor zniemacka zatrzymał się.

- Proszę, niech pan mi powie...

- Co takiego?

- A może ja zwariowałem? Jak panu się wydaje?

- Co też pan? - Les pokręcił głową.

Za żwirową górą niezliczone okna dziwnego hotelu jasno świeciły na tle szybko ciemniejącego nieba, potem jednocześnie zagasły.

U wejścia do hallu dozorca zapalił świeczkę. W otaczającej ich pustce kroki rozbrzmiewały głuchym echem. Przy windzie Gregor oddał lichtarz Lesowi.

- Mimo wszystko wrócę do siebie. Roboty jeszcze sporo - w oborze trzeba włączyć automat, owce nie napojone... Jeżeli będzie pan czegoś potrzebował, proszę nacisnąć guzik przy drzwiach.

Les ponownie zanurzył się w pościeli, nie było mu jednak dane spokojnie spędzić tej nocy. Około północy przebudziło go dochodzące z korytarza szczekanie psa. Pełen trwogi usiadł na łóżku. W otwartych drzwiach stanęli dozorca i wysoki mężczyzna z bokobrodami. Przybysz miał na sobie sztywny kombinezon, a w ręku trzymał białą maskę.

- Tak się złożyło, że mamy jeszcze jednego gościa. - Gregor zapalił swoją świeczką tę, która znajdowała się w pokoju. - Dopiero co wy dostał się z tunelu, a w innych pokojach nie ma światła.

Wielki czarno-biały pies przecisnął się między nimi i zaczął obwąchiwać nogi Lesa. Głowa jego była większa od ludzkiej. Nawąchawszy się pies podniósł uważny, dociekliwy wzrok na zdrętwiałego Lesa.

- Nic panu nie zrobi - odezwał się człowiek z faworytami. - Gryzie tylko na strzeżonym terytorium... Leżeć, Dżina... Mam nadzieję, że nie gniewa się pan za to wtargnięcie?

Pies okręcił się parę razy za własnym ogonem i położył się na dywanie, z głową na przednich łapach.

- Ależ nie, bardzo proszę! - Les wyraźnie słyszał drżenie własnego głosu.

Dozorca wciąż nie odchodził.

- Pan wybaczy, można pana prosić na chwilę?

- Mnie? - Les wstał i jednocześnie pies również podniósł się z podłogi. - Zaraz, coś włożę na siebie.

- Nie trzeba, na korytarzu pusto.



Les wyszedł w spodenkach. Pies próbował wysunąć się za nim, właściciel odciągnął go jednak od drzwi.

Gregor odprowadził Lesa na stronę.

- Raz jeszcze proszę mi wybaczyć. Niech mi pan powie, czy ona jest mężatką?

- Kto? Nioł?

- Tak.

- Nie wiem, wydaje mi się, że nie... A w ogóle nie mam o tym najmniejszego pojęcia, nic panu nie mogę powiedzieć.

- Nic nie mówiła panu o mnie?

- O panu w ogóle nie rozmawialiśmy.

- Nie zaglądał pan do niej teraz, wieczorem?

- Nie.

- Ani ona do pana?

- Też nie. Myślę, że śpi już od dawna.

- Wspaniała dziewczyna... A gdzie ona pracuje?

- W miasteczku, w jakiejś tam organizacji.

Gregor uderzył się pięścią w czoło.

- A niech to diabli... Może powinienem to wszystko rzucić, jak pan sądzi?

- M-m... Widzi pan...

- No dobrze, dziękuję za radę. Możliwe, że właśnie tak zrobię.

Gdy Les powrócił do pokoju, mężczyzna z bokobrodami siedział, już rozebrany, na łóżku.

- Nazywam się Tuster, z Nadzoru.

- Les... Właściwie Setera Kears.

- Gdzie pan pracuje?

- ITD - powiedział Les, przerażony własną głupotą, nic mądrzejszego jednak nie przychodziło mu do głowy - ITD-ITP, inspekcja.

Mężczyzna z bokobrodami Inie zdziwił się jednak, a tylko westchnął, układając się wygodniej.

- Gdzie też ludzie nie pracują! Mam takiego jednego znajomego, który na pytanie o miejsce pracy odpowiada - CHAM, słowo honoru. Każdy się obraża, a to po prostu Centralna Holoteka Akademii Medycznej... Jak pan tu się dostał?

- Helikopterem.

- I ja chyba będę musiał go wezwać przez radio - nie ma innej możliwości. Mógłbym i pana jutro podrzucić - co prawda tylko do miasteczka.

- Dziękuję, ale nie jestem tu sam, a poza tym mam jeszcze coś do załatwienia.

- Zapali pan?

- Nie... A raczej tak, dziękuję.

Milczeli chwilę. Tuster wyciągnął się na łóżku i wbił wzrok w sufit.

- Jestem zupełnie wykończony. Goniliśmy intruzów aż do podziemi, a tam naraz zgasło światło. Niech pan sobie wyobrazi, znaleźliśmy się nagle w kompletnych ciemnościach. Nie wiem, jak by to się skończyło, gdyby nie Dżina, która doprowadziła mnie do kolei magnetycznej. W zeszłym roku zabłądziło w podziemiach dwoje ludzi - nie tu, dalej na zachód, koło betonowej szosy - i do dziś śladu po nich nie ma... Bywał pan kiedyś w tych podziemiach?

- Tak... To jest, właściwie, nie.

Człowiek z bokobrodami popatrzył na Lesa uważnie.

- Kto tu jest z panem?

- Nasz współpracownik, kobieta.

- Młody? Przepraszam - młoda?

- Nie ma nawet pięćdziesięciu, to znaczy, chciałem powiedzieć, dwudziestu lat - Les wyraźnie zaplątał się. - Pan wybaczy, spać mi się chce.

Odwrócił się do ściany. Serce waliło mu tak głośno, że słyhać je było w całym pokoju. Tuster wiercił się w łóżku, moszcząc sobie wygodne miejsce, wreszcie zgasił świeczkę i uspokoił się. Les odczekał jeszcze mniej więcej godzinę, zanim, starając poruszać się bezszelestnie, wysunął się z łóżka i zaczął się ubierać. Zamiar obudzenia Nioł i natychmiastowej z nią ucieczki walczył w jego myślach z obelgami pod adresem dozorczy - przeklęty melancholik, doprawdy nie mógł mu znaleźć lepszego towarzystwa do pokoju.

Schylając się w poszukiwaniu drugiego buta, dotknął policzkiem czegoś mokrego. Uniesiona w obronnym geście ręka napotkała kosmaty łeb - pies trzymał nos tuż przy jego twarzy.

W tej samej chwili błysnął płomyk zapalniczki i powędrował w kierunku świecy. W jej świetle ukazał się siedzący na łóżku pracownik Nadzoru.

- Nie może pan spać? - zapytał ze współczuciem. - Ja także. To częste przy przemęczeniu. Ja w ogóle cierpię na bezsenność.

Wstał i przespacerował się po pokoju. Od drzwi do okna droga wiodła w dół, w przeciwnym kierunku - pod górę.

- Wie pan, co robię w takie noce jak te, poza domem? Złoszczę się. Leżę z otwartymi oczami i prowadzę nie kończące się monologi. Wymyślam swoim przełożonym, ratuję w myśli tych, których prześladuję w ciągu dnia... Jednym słowem, noc jest dla mnie zadośćuczynieniem za uczynki mego dziennego „ja” - panu zapewne znane są takie sytuacje? Być może, pan tego jeszcze nie wie, powiem więc panu, że nasi funkcjonariusze obowiązani są ścigać intruzów jedynie na terenie podlegającym jurysdykcji firmy - spotykany gdziekolwiek indziej, nie schwytyany na gorącym uczynku, jest uważany za całkowicie niewinnego. Jeżeli więc ja, przypuścimy, spotkałbym tu intruza, którego bym rozpoznał - mężczyzna z bokobrodami zatrzymał się, przypatrując się Lesowi - jest całkowicie wykluczone, abym próbował go zatrzymać, ale to tylko tak na marginesie...

Powrócił do swego wahadłowego spaceru. Siedzący na dywanie pies przytulił do nogi Lesa ciężki, muskularny korpus.

- Tak, noc... Dziwna to pora. Zauważył pan pewnie, że to właśnie nocą ludzie próbują przemyśleć swoją całodzienną działalność i cały ten świat, w którym żyjemy. Nasza rzeczywistość nie jest jednak możliwa do zrozumienia, a wie pan, dlaczego?... Otóż dlatego, że nie tworzy harmonijnej i spójnej całości, dlatego, że dziewięćdziesiąt procent skutków powodowane jest przez zaledwie dziesięć procent przyczyn. Na obraz świata nie ma wpływu to, co myśli czy robi zwyczajny szary człowiek, jak pan czy ja. Ważne decyzje zapadają w samotniach za stalowymi ścianami, okrywa je tajemnica, my zaś spotykamy się tylko z ich niezrozumiałymi rezultatami, zafałszowanymi na dodatek przez reklamę i własne interesy przeróżnych pomniejszych kacyków - zgadza się pan ze mną? - Pracownik Nadzoru odetchnął głęboko. - Jednym słowem, rzeczywistość jest ponura i beznadziejna i jeżeli o mnie chodzi, jedyną pociechą są dla mnie ikony.

Tuster zbliżył się do Lesa.

- Nigdy nie zachwycał się pan ikonami?

- Ikonami?

- Tak. U siebie w domu mam wspaniałą kolekcję, oczywiście nie samych ikon - są nieprawdopodobnie drogie - a reprodukcji. Mam również dwa oryginały. Jeden z nich to „Archanioł Gabriel” z tysiąc dziewięćset trzydziestego, a może nawet dwudziestego dziewiątego roku. Ze względu na jego wyjątkowo dużą wartość noszę „Gabriela” zawsze ze sobą - o, proszę spojrzeć!

Mężczyzna z bokobrodami nachylił się ku swemu kombinezonowi wiszącemu na skraju łóżka i z jego wewnętrznej kieszeni wyjął niewielki skórzany futerał. Po jego otwarciu ukazała się mała płytka o nierównych krawędziach. Tuster ujął ją delikatnie w palce i położył przy świetle.

- Prawda, że piękna? Można patrzeć bez końca. Farby już pociemniały, proporcje twarzy nie są zbyt dokładnie oddane, a jednak obraz wydaje się żyć jakimś swoim wewnętrznym, utajonym życiem. Niech pan spojrzy, jak wspaniale współgra ciemnozielony, niemal miedziany kolor chlamidy z czerwienią płaszcza i złocistym tłem.

Na ciemnej powierzchni płytki nie było widać dosłownie niczego.

Tuster znów zaczął chodzić.

- A w ogóle, muszę stwierdzić nie bez dumy, uchodzę za nie najgorszego specjalistę w tej właśnie dziedzinie.

Les ujął w ręce skołataną głowę. Przez moment zdało mu się, że sufit i podłoga zamieniły się miejscami, a pracownik Nadzoru chodzi do góry nogami, jak mucha. Tego było już stanowczo za dużo. Odepchnął psa i jak stał, w spodniach i w jednym bucie, zwał się do łóżka. Ustawił budzik na czwartą trzydzieści i zamknął oczy.

Obudził się, gdy niebo za oknem przybrało już perłowozielonkawą barwę. Pracownik Nadzoru leżał na wznak, z rozrzuconymi rękami i głośno pochrapywał. W porannym świetle jego zmęczona twarz o ostrych rysach wygadała znacznie starzej niż w nocy. Drewniana ikona leżała porzucona na szafce obok zgasłej świecy.

Les umył się i ubrał. Pies ani na chwilę nie spuszczał z niego uważnego, pytającego spojrzenia. Les wziął do ręki ikonę, przyjrzał się jej i odłożył na poprzednie miejsce. Poza nierównościami ciemnej powierzchni nic nie pozwalało przypuszczać, aby znajdowało się na niej jakiegokolwiek malowidło.

Wyszedł na korytarz, ale nim zdążył zamknąć drzwi za sobą, pies wybiegł za nim również. Zakłopotany, powrócił do pokoju - pies szedł za nim krok w krok. Spróbował wyjść raz jeszcze, tym razem chyłkiem, zaledwie jednak zaczął otwierać drzwi, pies wcisnął się w powstałą szczelinę, odpychając go.

Trzeba było jakoś temu zaradzić. Chwytał mężczyźnię z bokobrodami za ramię i potrząsnął nim mocno.

- Ej, niech się pan zbudzi...

Pracownik Nadzoru przestał chrapać, Les ponowił więc wysiłki.

- Niech pan posłucha, pański pies...

Tuster siadł z zamkniętymi oczami i precyzyjnym, odmierzonym ruchem wziął ikonę, włożył ją do futerału, a ten do kieszeni kombinezonu. Robił to wszystko automatycznie, jak tysięczny raz powtarzane ćwiczenie. Zamamrotał coś przez sen, nakrywając głowę rąbkami zmiętego prześcieradła.

Pies wciąż stał obok Lesa, wielki, szerokopierśny, z pół czarną, pół białą mordą.

- Czego ty chcesz ode mnie?

Pies pomachał ogonem. Długa sierść powiewała na nim jak żagiel.

- Niech cię diabli! Chcesz iść, to idziemy.

Niol w swoim pokoju stała przed lustrem, przymierzając słomiany kapelusik. Oczy jej rozszerzyły się zdziwieniem, gdy ujrzała psa, uspokoiła się jednak, gdy Les opowiedział jej o wydarzeniach tej nocy.

- Wszystko się zgadza. Zapomniałam pana uprzedzić, że już nie ma się czego bać. Gregor zna ten mechanizm, dlatego przyprowadził tego człowieka do pana. - Nachyliła się do psa. - Jak on się nazywa?

- Dina... Dżina.

- Chodź do mnie, Dżina.

Pies popatrzył na Lesa, jak gdyby prosząc o przyzwolenie, po czym zamachał przyjaźnie ogonem.

Na dworze panował jeszcze chłód. Odczuli go szczególnie wyraźnie, gdy wstąpili na kamienistą ścieżkę, wiodącą przez ogród dozorczy. Gregora nie było nigdzie widać, hotel i jego okolice wyglądały jak wymarłe.

Coś zmieniło się tutaj od wczorajszego wieczora. Les nie mógł sobie jednak uświadomić, co to mogło być. Dopiero gdy minęli pole pszenicy, zrozumiał, o co chodzi - wysoki komin leżał, przewrócony, na ziemi. Gregor niszczył swe gospodarstwo systematycznie, poczynając od źródła energii. Dookoła leżały stosy splątanych lin naciągowych, na ziemi wałała się również porzucona siekiera.

Pozostawiając za sobą plamę zieleni, weszli na pierwsze wzgórze. Z jego wierzchołka otwierał się widok na rozległy niezemski pejzaż, tonący w ciemnopurpurowym świetle porannej zorzy. Martwe pola asfaltu, piaskowe kratery, betonowe kaniony - jedynie gdzieniegdzie, jak drzewa z jakiejś odległej planety, wystrzelały w górę czarne sylwetki rdzewiejących dźwigów. Ze szczytu najbliższego z nich poderwał się ptak i ciężko machając skrzydłami pofrunął ku wschodowi, gdzie widniały resztki ocalałego lasu.

Słońce wschodziło szybko. Za ledwie jego olśniewająca tarcza stała się widoczna w całej okazałości, a już niebo zbłękitniało, pustynia zaś ożywiła się całą gamą barw, od żółtobrunatnych tonów w miejscach oświetlonych do niebieskich w głębokim cieniu. Z miejsca też zrobiło się wyraźnie cieplej.

- Może by tak wziąć wody na zapas - powiedział Les. - Tylko w co?

Niol sprzeciwiła się temu pomysłowi.

- Lepiej nie zatrzymujmy się. Wydaje mi się, że powinny tu być studnie, to znaczy ujścia rur wodociągowych. Owe dzięki plemiona najprawdopodobniej wędrują od jednego takiego źródła do drugiego.

Szli spiesznie, jednak w miejscu, gdzie ścieżka skręcała w lewo, Les zatrzymał się.

- Jak idziemy dalej? Wydaje mi się, że idąc na wprost możemy zabłądzić. Czytałem, że nawet nosorożce w rezerwatach chodzą po ścieżkach.

- Gadanie, na przełaj będziemy szybciej. Poza tym wieczorem muszę już być w pracy.

Południe zastało ich całkiem wyczerpanych, zagubionych pośród nieprzejrzanego zwałowiska żwiru. Les, Niol i Dżina przeszli do tej pory około dwudziestu kilometrów. Dwukrotnie natykali się na fragmenty pokrytej piaskiem i rozmazaną gliną drogi - niedoszłej autostrady czy też ulicy. Ostatni jej odcinek doprowadził ich dobre osiem kilometrów.

Monotonie otaczającego krajobrazu z rzadka jedynie przerywał trup potężnego spychacza - na połę zasypanego, zmarłego akurat w momencie, gdy przymierał się do przyzmy tłuczni - bezkształtna betonowa gruda czy też truchło małej sprężarki. Panował straszny upał, omywane wznoszącym się rozgrzanym powietrzem kontury przedmiotów drżały i rozpływały się.

- Dłużej nie dam rady - ochryplym głosem powiedziała Niol. - Odpocznijmy chwilę.

Przysiadła na pokrywie sprężarki i zaraz zerwała się na równe nogi.

- Przekleństwo! Gorąco jak na patelni. Jest pan pewien, że utrzymujemy właściwy kierunek?

- Mam nadzieję. Cały czas za słońcem.

Dziewczyna zamyśliła się, po czym podniosła na Lesa przerażone oczy.

- Przecież słońce też się porusza. Tylko o świcie jest na wschodzie, o dwunastej powinno już być na południu. Dlaczego nam to wcześniej do głowy nie przyszło?

Les rozejrzał się wokół oszołomionym wzrokiem.

- Tak, rzeczywiście. Wychodzi na to, że cały czas skręcamy, idziemy po łuku. Dlatego i miasteczka ani widu, ani słychu.

- Oczywiście. A jeśli i dalej tak byśmy szli za słońcem, na noc wrócilibyśmy do hotelu. Musimy więc teraz iść tak, by słońce mieć po prawej stronie.

Les z roztargnieniem kiwał głową. Zgęstniała krew głośno pulsowała w skroniach, bał się, że straci świadomość.

- Kierunek można jeszcze podobno wyznaczyć z azymutu. Zdaje mi się, że azymut to kąt między czymś a czymś...

Niol uśmiechnęła się.

- I mnie się tak zdaje... Nie jest pan zły na mnie, że nie wzięliśmy wody? To przecież moja wina.

- Nie, co też pani...

- I jeśli tu zginiemy - a wygląda to na całkiem możliwe - też nie będzie pan się na mnie złościł?

- Pewnie, że nie.

Pies, ciężko dysząc, przysiadł obok Lesa. Dla pokrytego gęstym futrem stworzenia upał był wyjątkowo trudny do zniesienia. Wilgotny język wystawał prawie na pół metra poza białe kły - Les nigdy nie podejrzewał, że psi język może być aż tak długi. Mimo zmęczenia pies słuchał Lesa, patrząc mu uważnie w oczy, jak gdyby znajdował się zaledwie o krok od granic rozumienia mowy ludzkiej.

Z wysoka spłynął oddalony, słaby brzęk. Niebieski samolocik, z trudem widoczny na tle nieba, ulatywał na południe. Wydawało im się, że wewnątrz pławią się w komforcie pasażerowie całkiem nieświadomi tego, że dwoje zagubionych w pustyni nieszczęśników odprowadza ich zawistnym wzrokiem.

Niol westchnęła i rzuciła spojrzenie na psa.

- Mam pomysł! Wie pan co, niech ona poszuka - może znajdzie wodę? Dżina, szukaj! Szukaj!

Pies zakręcił się w miejscu, skomlać.

- Szukaj wody!

Pies zamarł na moment, potem pędem rzucił się przed siebie. Jego rozwiany ogon mignął jeszcze parę razy, malejąc szybko, po czym zniknął za pagórkami. Czas mijał, żar lejący się z nieba stawał się niemożliwy do wytrzymania. Wreszcie usłyszeli szczekanie, zrazu jeszcze odległe, potem coraz bliższe.

Les i Niol ruszyli w kierunku psa, który ukazał się na pobliskim wzgórzu. Dżina sprowadziła ich w niewielką kotlinkę, na której piaszczystym dnie widniał wyraźny, świeży odcisk buta.

Ludzki ślad!

Ruszyli za psem. Drogę zagroziła im wkrótce ogromna sterta pustych blaszanek. Wspinaczka na nią była istną drogą przez mękę: nogi chwiały się przy każdym kroku, puszki wyskakiwały z grzechotem spod nóg, w nieruchomym powietrzu zawisa gęsta rdzawa chmura. Po kilku solowych wywrotkach Les i Niol wzięli się za ręce. Pies biegł przed nimi z nosem przy ziemi.

Za górą puszek wznosiła się druga, tym razem z plastikowych opakowań po mleku. Sprężyste pudełka również wystrzelały spod nóg, tu jednak upadek nie był tak bolesny. Znajdowali się teraz w czymś w rodzaju wąwozu, pomiędzy szeregami niedokończonych budynków, jak gdyby na zarzuconej odpadkami ulicy.

Wątlý zapas sił wyczerpywał się szybko, przystanęli więc na chwilę, by złapać oddech.

- Hej!

Niol i Les odwrócili się.

Na szczycie betonowej ściany stał człowiek w jaskrawozielonym kombinezonie.

Nie minęło i pół godziny, gdy napojeni i nakarmieni mogli rozkoszować się wypoczynkiem w namiocie kierownika ekspedycji. Była to grupa poszukująca kolei magnetycznej. Dowiedziawszy się, że wejście znajduje się tuż obok hotelu, kierownik nakazał natychmiast związać obóz, a sam, uradowany i wylewny, zajął się gośćmi, pojąc ich wodą mineralną.

- Pijcie, pijcie! Gościna dla wędrowca to prawo pustyni. Nasze spotkanie to wyjątkowo szczęśliwy przypadek. Już czwarty tydzień szukamy tej kolei - robota rządowa. Oczywiście, w jakichś blokach pamięci jest o niej pełna informacja, ale niech kto spróbuje znaleźć te bloki! A w ogóle tak dalej być nie może - na pewnym stopniu komplikacji technologia wymaga jednolitego, scentralizowanego kierownictwa, a nie od Sasa do Lasa, jak u nas.

- A jak wy szukaliście tej kolei?

- Zwyczajnie, wierciliśmy. Myślicie, że to łatwo? Po pierwsze, jest ona bardzo głęboko, a poza tym tutaj przecież cały grunt jest dosłownie nafaszerowany różnymi rurami, kablami, zbiornikami - sam diabeł nogę złamie. Ze wskaźników nic odczytać nie można, a i wiertła co rusz wymieniaj, bo trafiają na metal... Poza tym sama pustynia mało zbadana, map nie ma. Zamierzano zrobić zdjęcie topograficzne, ale poza rozmowy sprawa na razie nie wyszła. Pewien podróżnik z Towarzystwa Geograficznego postanowił zbadać Wielkie Wysypisko Puszek - jesteśmy właśnie na jego skraju. Obszedł je w parę dni, ale do wnętrza nie udało mu się dostać, nie miał odpowiedniego transportu. Prosił, co prawda, o wielbłądy z ogrodu zoologicznego, ale nie dali... Ja sam, na przykład, wiem, że na

północnym zachodzie jest jezioro oleju maszynowego, a w pobliżu góry kart perforowanych, widziałem to jednak z helikoptera, a z powietrza trudno ocenić rzeźbę i prawdziwe rozmiary tych form.

- Żyj tu jednak jakieś plemiona. Nie mogłyby wam pomóc?

- Co za pożytek z dzikich? Jest co prawda i osiadłe plemię, Kanon, nawet niedaleko stąd. Dobrze, żeście się na nich nie natknęli.

- Dlaczego?

- Biorą do niewoli. Mają taką religię - powiadają, że nadchodzi koniec świata i te ostatnie dni, które nam pozostały, należy spędzić wyłącznie na uciechach. Rządzi nimi kobieta- -hipnotyzer. Każdego, kto do nich trafi, starają się uśpić i naszpikować narkotykami.

- Co oni w takim razie tutaj jedzą? - zapytał Les. - Myślałem, że mieszkają w pobliżu hotelu i stamtąd biorą żywność.

- Jeżdżą tam. Oswajają maszyny i jeżdżą.

- Jak to - oswiają?

- Przerabiają na ręczne sterowanie. Jeździła tu na przykład automatyczna wąskotorówka, to ją przekonstruowali... W ogóle ponuro u nich - tylko tańczą i zawodzą.

- Brrr! - Nioł wstrząsnęła się, udając odrazę. - A koczownicy?

- Oni nikomu nie wadzą. Przeważnie są to literaturoznawcy i krytycy teatralni, a ich wódz to magister historii sztuki. Wędrują od źródła do źródła, chudzi jak szczapy, bo prawie nic nie jedzą, tylko dyskutują. Zabłądziłem raz i byłem zmuszony spędzić całą dobę w ich obozowisku. Choć byłem bardzo zmęczony, całą noc oka zmrużyć nie mogłem, bo nad głową bez przerwy „transcendencje”, „byty absolutne”, „subiekt-obiekt”, „alienacja” - oszaleć można. Najgorszą dla nich karą jest milczenie. Jeden z nich, na przykład, znalazł puszkę konserw i zjadł sam, nie dzieląc się z nikim. Skazano go na tydzień milczenia - knebel wyjmowano tylko po to, żeby go nakarmić - i wyobraźcie sobie, umarł, biedaczysko, zaduszony tymi słowami, które rodziły się w nim, gdy inni mówili swobodnie... Niektórzy z nich wracają na łono cywilizacji, wygłaszają wykłady, piszą artykuły, a potem znów do plemienia... Na ogół to dobrzy ludzie. Nieraz przychodzą do miasta wynająć się do jakiejś dorywczej pracy, a pracują uczciwie. Jeden z nich pracuje teraz u mnie przy wiertle, ale nie dajemy mu niczego poważnego - chętny, ale sił mu nie dostaje... A w ogóle straszliwy brak ludzi.

Twarz kierownika zachmurzyła się, to był dla niego bolesny temat.

- Bo, powiedzcie sami, dotrzemy teraz do kolei podziemnej, ale co my tam zdziałamy bez fachowca elektronika? Taki człowiek jest nam niezbędnie potrzebny, ale znaleźć go nie tak łatwo, bo niemal wszyscy pracują w monopolach. Prywatne firmy mają więcej pieniędzy, mogą też zapewnić znacznie lepsze warunki niż przedsiębiorstwa państwowe. Jasne, że technologia mogła wziąć górę nad nami, od kiedy najlepsi specjaliści pracują w laboratoriach, tylko szkodząc sobie nawzajem...

Kierownik chodził nerwowo po ciasnym namiocie, zawadzając o wszystko łokciami i ramionami.



- Nie macie przypadkiem znajomego elektronika? Ochotnika, rzecz jasna, na głodową pensję... Jak wejdziemy do tunelu, nie będziemy wiedzieć, za co się wpieryw łąpać.

Gdy zdemontowano wieżę wiertniczą i zwinięto cały obóz, kierownik ekspedycji wyprowadził swych gości na dobrze przetartą ścieżkę.

- Widzicie te dwa wzgórza? Idźcie w ich kierunku, a nie zabłądzicie. Z ich szczytu będzie już widać miasteczko. To tylko dziesięć kilometrów: pięć do wzgórz, a potem drugie tyle. Podwiózłbym was landrowerem, ale tędy nie przejdzie. Żegnajcie, miło mi było was spotkać.

...ulica Różana, ulica Cienista - na Cienistej panowało nie spotykane ożywienie. Kilkunastu młodych ludzi w eleganckich, choć nieuchwytnie do siebie podobnych garniturach zbiło się w ciasne gromadki, rozmawiając przyciszonymi głosami. Ich badawcze spojrzenia odprowadzały przechodzących mimo nich Lesa i Niola, oberwanych i spalonych słońcem. I Les, i jego towarzyszka ledwie powłóczyli nogami, mimo to na Bzowej cała trójka musiała dać z siebie resztki sił, aby dosłownie przebijać się przez zwarty tłum ludzi i samochodów. Luźniej było dopiero przed domem numer pięćdziesiąt. Jakiś tęgi mężczyzna o tak wypielegnowanej i władczej twarzy, jakiej Les nigdy jeszcze w życiu nie widział, starał się o czymś przekonać posiadacza starego kapelusza i ogromnych ust.

- Mam przecież przepustkę!

- No to co?

- Dopustkę też już okazywałem.

- To nie ma znaczenia, tym bardziej że u nas stan nadzwyczajny...

Ktoś trącił Lesa w ramię.

- Dzień dobry. Dżina poszła z wami?

To był Tuster. Pracownik Nadzoru wyjął z kieszeni obrożę i kaganiec, ze zręcznością iluzjonisty przyodział w nie warczącego psa i wziął go na smycz.

- Cieszę się, że znowu pana widzę. Miło nam się gadało w nocy, prawda?... Jak pan tu dotarł, bo ja helikopterem. - Wziął Lesa pod rękę. - Nawiasem mówiąc, wewnątrz ogrodzenia teren jest już w jurysdykcji firmy. To po prostu informacja i niech pan tego inaczej nie traktuje, jeżeli jednak, powiedzmy, zobaczyłbym tam człowieka, którego ścigałem cały wczorajszy dzień, musiałbym wypełnić swoją powinność. Po tej stronie ogrodzenia i na ulicy takiemu człowiekowi oczywiście nic nie grozi.

Awantura przy furtce nie traciła na sile.

- To dlaczego nam nie wystawiono wpustki, jeżeli, jak pan mówi, jest ona konieczna?

- A czy to moja sprawa?

- Wezwijcie tu swojego przełożonego!

Mężczyzna w kapeluszu wszedł do środka i za chwilę pojawił się z porucznikiem, który, wsuwając w kieszeń książeczkę o miliardach, rzucił od niechcenia:

- Nie ma w ogóle o czym z nimi mówić, jeśli nie mają wpustki. Przepędź ich stąd, bo psują nam całe maskowanie.

Tuster podał Lesowi wizytówkę.

- Na wszelki wypadek - a nuż się pan kiedy zacznie interesować ikonami... W zasadzie dobrze mieć jeszcze jedno miejsce, gdzie można by pójść.

Niol rozglądała się, zdezorientowana.

- Coś musiało się stać u nas. Jeszcze nigdy nie nastano aż tylu ludzi. Les, pożegnajmy się.

Wielkousty mężczyzna - w tajemniczy sposób jego usta przybrały normalne rozmiary - dostrzegł dziewczynę i, zostawiając porucznika, szybko do niej podszedł.

- Gdzieście się podziewali? - zaszeptał, kiwając głową Lesowi. - Chłopcy wymyślili awarię w maszynowni i wyłączyli zasilenie (Tuster delikatnie odsunął się, ciągnąc za sobą opornego psa). Biegnij i powiedz im, żeś się już znalazła.

Niol obróciła się do Lesa.

- Niech pan obejdzie ogródek dookoła. Ja zaraz tam będę.

Les wycofał się, przedzierając się przez tłum.

W wąskim zaułku panowała cisza. Les oparł się o drewniany płotek i patrzył w głąb małego, gęsto zarośniętego ogródka, pełnego krzaków róż i klombów z astrami, przetykanych kępami rumianku. Tuż przed jego nosem maleńki jesienny pajęczek szykował się do lotu. Do gładkiego, ciemnozielonego liścia bzu przyczepił kilka krótkich pajęczynek, usztywniających jego pole startowe. Przebiegł następnie na skraj liścia, przykleił jeszcze jedną nitkę i, nie ruszając się z miejsca, zaczął ją przedłużać w powietrze. Ciepły, idący od ziemi podmuch uniósł ją i uformował w pętlę. Pajęczek usilnie snuł z siebie nić, pętla rozrastała się. Odgryzł wreszcie przymocowany do liścia koniec i nić naprężyła się. Przyszły aeronauta zwlekał jeszcze chwilę ze startem, na koniec zwolnił chwyt i wiatr uniósł go prosto w twarz Lesowi. Lekkim dmuchnięciem Les skierował na bezpieczną trajektorię maleńką, a tak skomplikowaną kropelkę życia.

W kuchennych drzwiach pojawiła się Niol. Była już ubrana w bluzkę i spódnicę z białym fartuszkim, a w rękę trzymała konewkę. Podbiegła do Lesa.

- No i tak... Opowiedziałam chłopcom, jak było - pozdrawiają pana serdecznie.

Les skinął głową. Chwilę patrzyli na siebie bez słowa.

- Nie zapomnimy o sobie nigdy, prawda? To tok cudownie, że się spotkaliśmy.

- Oczywiście. - Miło było na nią patrzeć, tak śliczną i zgrabną, i te błękitne oczy pod czarnymi łukami brwi...

- Gdy będzie pan pisał do Kearsa, proszę dołączyć karteczkę dla mnie - odpowiem na pewno... Całe życie będziemy przyjaciółmi.

Niol przechyliła się przez niski płótek i objęła Lesa. Ucałowali się, po czym Les szybko odszedł w kierunku skrzyżowania, na którym zaledwie wczoraj zostawił swój samochód. Miasteczko było jak wymarłe. Drzemały nawet płoty, sztyld fryzjera, łupkowe dachy, czyste, tęczowo połyskujące szyby w oknach. Nie uznający lekarstw dziarski staruszek pomachał z daleka Lesowi ręką.

Podszedł do swej maszyny i oparł się ciężko o maskę,

- Ufff...

Nie ma co mówić, pełne wrażeń były te dwa dni!

Otworzył drzwi, nie zasiadł jednak za kierownicą, lecz bokiem, pozostawiając na zewnątrz zmęczone nogi. Otoczył go swojski zapach samochodu: ulubiony tytoń, benzyna, której na staroświecką modłę używał do rozruchu, wypłowiła parasolka Rony. Wszystko to zbliżało go do domu, wieszcząc koniec tułaczki, jeśli nie w geograficznym, to przynajmniej w psychologicznym sensie.

- O-o-ch...

Zapalił. Trzeba było coś postanowić - żona czeka w domu na decyzję. Sięgnął za pazuchę, by wyjąć żółty anons „Zaufania”, przypomniał sobie jednak, że pozostał on w podziemiach.

- No, dobrze.

Decyzja już narodziła się sama... Siadł za kierownicą, jednak zaledwie włączył silnik, gdy dostrzegł Niol i psa, biegnących ku niemu przez placyk. Białe ogony i biały fartuszek podskakiwały w nierównym, pospiesznym rytmie.

Otworzył drzwi i wyszedł z samochodu.

- Co za szczęście, że pan jeszcze nie odjechał... Chodzi o to, że Dżina za nic nie chce zejść na dół, pewnie się zbyt nastraszyła. Pchali ją i ciągnęli, i nic.

Pies kręcił się wokół Lesa, skomląc bez przerwy. Naraz stanął na tylnych łapach, okazując się wzrostem równy człowiekowi, przednie łapy położył Lesowi na ramionach i polizał go po nosie. Les z trudem zdołał utrzymać się na nogach - cofnął się o krok i oparł o samochód.

- Tuster prosił zapytać pana, czyby pan jej nie wziął?

- Wziął? Jak to - na własność?

- Tak. To przecież dobry pies.

- ?...

- !...

- Niech będzie - wezmę.

Otworzył tylne drzwi. Pies, jak gdyby już dawno wszystko przemyślał, prosto z ziemi wskoczył na siedzenie. Ułożył się, zajmując całą szerokość kanapy, głowę oparł na łapach, podniósł ją, otrząsnął się całym ciałem i ponownie położył.

- Tylko niech pan potem nie zmieni decyzji - gdzież ona się podzieje?... Zresztą pan jej nie wyrzuci.

- Nie. To naprawdę dobry pies. Żona ją na pewno polubi, a już chłopcy...

- Nie będzie pan miał z nią kłopotu w mieście?

- To nic... My zresztą w mieście długo nie zabawimy, raczej w namiocie.

- W namiocie?... - Niol w pierwszej chwili nie zrozumiała, potem uśmiechnęła się. Podeszła i przytuliła się do jego twarzy. - Do zobaczenia - teraz, być może, nawet prędkiego. Koniecznie niech pan przeczyta tę książkę o Mozarcie - tam, gdzie jest o Hagenauerze. W ogóle powinna się panu spodobać... Jak panu odpowiadać na listy? Zostanie pan Lesem czy wróci do Setery Kearsa?

- Najprawdopodobniej wrócę. Jak wracać, to do wszystkiego.

...Restauracja w niemal stuletnim budynku, stara armatka za żelazną barierką, luźne brukowce na rynku, redakcja gazetki „Patriota”.

Gdy otworzyła się wokół rozległa przestrzeń pól, Setera Kears włączył czwarty bieg i samochód nabrał szybkości, podskakując i zataczając się na wybojach betonowej szosy. Kears jechał prosto w zniżające się powoli słońce, złocące kłosa pszenicy, pnie i korony drzew, sztachety płotów. W ciepłym powietrzu powoli opadał tuman kurzu, wzniesiony stopami zmęczonego przechodnia, z łąk dolatywał zapach koniczyny.

Mimo wszystko nie jest jeszcze tak źle na tej Ziemi.

Niespiesznie przepłynął do tyłu plakat na dwóch słupkach. Po tej stronie napisy biegły w odwrotnej kolejności.

#### CZY CI NIE WSTYD?

To dotyczy złego nastroju - a w jakim nastroju jest on teraz? Poczuł przebiegający po plecach dreszcz, a gdzieś w głębi świadomości narodził się zwycięski, jasny rytm.

Nastrój był nieokreślony, ale nie to było ważne. Ważne było jedynie to, że wczoraj był on bardzo zły, wręcz beznadziejny, a przecież firma, która go wzięła na smycz, gwarantowała, że taki nastrój jest niemożliwy.

Niemożliwy, a jednak był. Czyżby zdołał całkiem się wyzwolić spod kontroli maszyny?

Wyglądało na to, że tak, chociaż elektrody jak siedziały w mózgu, tak siedzą... Weźmy chociażby wczorajszy dzień - czy to nie dobrze, że stało mu się naprawdę ciężko, gdy ujrzał dwugłowego Lesa? Czyżby to było źle, że zrobiło mu się niedobrze na korytarzu? Początkowo przecież coś takiego było zupełnie niemożliwe - tuż po operacji z powodu tych stimceiverów nie mógł nawet myśleć. Zaledwie człowiek tylko trochę się zasmucił, a już sygnał tam i z powrotem i znowu powraca naiwna radość życia, tyle że z metalicznym posmakiem w ustach - tylko ciesz się i skacz. Nieraz oboje z Roną po przeczytaniu biuletynu giełdowego mieli łzy w oczach, a już po chwili śmiali się do siebie, zapominając o wszystkim, i brykali jak cielęta na łące. Ostatnio jednak zmieniło się to - i on, i żona stali się bardziej samodzielni, mogli denerwować się już i niepokoić, a wczoraj w tych dżunglach technologicznych

poczuł się już całkiem samodzielnym człowiekiem. Nikt weń nie wmuszał fałszywej radości, sam rozumiał niebezpieczeństwo i szukał przed nim obrony.

Skąd jednak taka zmiana? Skąd mózg wziął siły do walki z tym, co podszeptuje maszyna? Chyba stąd, że tym razem mózg bronił samego siebie. Dlatego właśnie był w stanie zmobilizować się i przeciwstawić swą otrzymaną w spadku po milionach lat ewolucji elastyczność monotonii sygnałów elektrycznych - i zwyciężyć... Właściwie to słuszne - w końcu to mózg wymyślił maszynę, a nie odwrotnie.

Jeżeli zaś tak jest, to dobra nasza - nie taka mocna ta smycz, jak się wydawało.

Tu jednak zaraz rodzi się pytanie - po co mózgowi ten cały trud? Wydawałoby się przecież, że lepiej weselić się i radować bezustannie... Być może, mózg tak twardo obstaje przy samodzielności, albowiem ukształtowało go społeczeństwo, poczuwa się więc do odpowiedzialności nie tylko za swego właściciela, ale za wszystkich ludzi. Z punktu widzenia pojedynczego człowieka rzeczywiście nie może być nic lepszego od beczynnego zażywania rozkoszy, ale z punktu widzenia gatunku *Homo sapiens*... Możliwe, że rozum współczesnego człowieka to nie izolowana komórka, określona jedynie miejscem i czasem istnienia, a cała sfera marzeń i doświadczeń rodzaju ludzkiego, tworzona przez setki tysięcy lat. Jakby nie było, większość współczesnych ma właściwe wyobrażenie o postawie rzetelnego człowieka i choć nie każdemu udaje się postępować tak, jak dyktuje ideał, nie znaczy to jednak, by był on fikcją.

Niol, na przykład, wspomniała o Hagenauerze, który żył sobie cicho w swoim prowincjonalnym Salzburgu i nigdy nie ośmielił się nawet pomyśleć, by mógł przejść do historii, a jednak pamięć o jego dobroci przetrwała wieki i żyć będzie dalej.

Nie na darmo więc Rembrandci, Mozartowie, Szekspirowie poszukiwali jedynej prawdy, wśród bezsennych nocy w nieskończoność kreśląc, poprawiając i wciąż zaczynając od nowa swe dzieła. Żyją więc i ci, którzy odważnie łykali dżumę z probówki, i ci, którzy z gołymi rękami szli do okopów - nic nie przepadło, i teraz dopiero można zrozumieć, na czym polega nieśmiertelność tych Don Kichotów... Mignęła kolejna tablica reklamowa.

#### MELANCHOLIA

to dziś dolegliwość równie dokuczliwa...

A miech was wszyscy diabli - przecież gdyby nie poczucie niezadowolenia, do dziś mieszkalibyśmy w jaskiniach.

Przy budce dróżnika, u przejazdu kolejowego, czarny kot oblizując się siedział na ławce. Za plecami Kearsa odezwało się skomlenie, po czym pies szczechnął głuchym jak z beczki basem. No proszę, nawet ona, choć kota pewnie nigdy w życiu nie widziała, zna swoje obowiązki.

Samochód ponownie przyspieszył, gnając teraz długimi na kilkadziesiąt kilometrów susami. Kears odchylił się na oparcie, z lekka jedynie przytrzymując kierownicę. Wiele jeszcze pozostało do przemyślenia. Ciekawe na przykład, czy kierownik ekspedycji zechce przyjąć elektronika z tak długą przerwą w praktyce? Przyjąć, przyjmie - i jego, i Ronę - ale jedynie z braku innego wyjścia. Dopiero potem Kears pokaże mu, że na coś go jednak stać - nie darmo w instytucie uważano go za jednego ze

zdolniejszych. Tyle, że później odeszła go ochota do wszystkiego, gdy zrozumiał, że technologia jest nie dla ludzi, a dla samej siebie...

Niebo stopniowo mętniało, kukurydziane pola ustąpiły zwałom cegieł i betonu. Samochód przemykał obok nich, a być może wszystko to poruszało się wokół nieruchomego samochodu. Umykała do tyłu droga, trąc o koła i zmuszając je do szaleńczych obrotów, umykały pryzmy żwiru, bęben od kabla, wydmy pomarańczowego piasku. - Stop! To przecież pustynia. Kears przyhamował szalony bieg Wszechświata, podciągając skraj drogi pod dno samochodu. Wysiadł i chwilę odczekał, nim otaczający go świat uspokoił się i zastygł w bezruchu. Tuż obok niego pies z ulgą otrząsał swą bujną sierść.

W samej rzeczy była to pustynia - daleko na horyzoncie rysowała się nawet maleńką kreseczką sylwetka krzywej wieży.

Dziesięć kroków od betonowego pasa, jeszcze dziesięć... Jak tu spokojnie i bezpiecznie, gdy wiesz, że szosa tuż za plecami! Około pięćdziesięciu metrów opodał ziały czernią otwarte drzwi w ścianie jakiegoś niskiego budynku, do połowy zasypanego żwirem. Podszedł i zajrzał do wnętrza. Nieforemne betonowe stopnie ginęły gdzieś w mrocznej głębi. Ruszył w dół.

Migotliwy żółty płomyczek wydobyl z ciemności szare płaszczyzny ścian pomieszczenia. Pośrodku podłogi widniał właz, w którego głąb prowadziła metalowa drabinka. Wszystko się zgadza - tu przecież każdy skrawek ziemi powinien być naszpikowany technologią.

Czy starczy mu odwagi, by iść dalej z zapalniczką? Obejrzał się. Pies stał u szczytu schodów, skomląc cicho. Jego kontur rysował się ostro na tle nieba.

- Dzina, do mnie... No, chodź, nie bój się!

Pies zszedł o jeden stopień.

- Chodź! Chodź tu! - Zawrócił i wzięwszy psa za obrozę poprowadził za sobą.

Przy włazie pies zaczął się szarpać i warczeć. Kears zostawił go i zszedł na niższy poziom, wszystkiego zaledwie trzy metry w dół. Rozchodziły się stąd trzy niskie i dość wąskie korytarze. Prawy przegradzała belka, na której żółto-czerwony znak ostrzegał przed niebezpieczeństwem napromieniowania; w głębi lewego korytarza tliło się słabe światło. Możliwe, że właśnie tutaj rozpoczęli swoją wędrówkę ci dwoje zagubieni bez śladu, o których mówił Tuster.

W pobliżu posłyszał krótki, urywany oddech. Pies przyłgnął drżącym ciałem do jego nóg. Kears nachylił się i pogładził go po wielkiej głowie.

- Przywykniesz do tego. Będziemy tak wędrować razem może i całymi tygodniami. Weźmiemy żywność i światło i w drogę - przed nami dużo roboty.

Po stęchłej duchocie podziemi powietrze na zewnątrz wydawało się chłodne. Na drodze oczekiwał ich samochód, maleńki wobec ogromu bezludnego pustkowie.

- No cóż, jedziemy!

Zaszumił silnik, ruszyły i pobiegły do tyłu betonowe płyty, zamarły kompresor, zwoje drutu, piasek.

Błysnęły i momentalnie zniknęły jaskrawe litery końcowego plakatu całej serii:

... pomiędzy  
ZŁYM NASTROJEM...  
... Skontaktuj się...

Kontaktować się? Nie ma głupich.

Kears miał wrażenie, jak gdyby pękł jakiś dokuczliwy wrzód. Przez długie lata jego własne życie było przytłumione. „Przesiadki”, elektrody w czaszce były jedynie próbami ucieczki od samego siebie, od odpowiedzialności. Po tylu manifestacjach słabości to całe „Zaufanie” dla niego i Rony oznaczałoby już kompletne zaprzeczenie się w niewolę. Teraz, gdy niebezpieczeństwo już minęło, widać jak na dłoni, że cała ta machina konsumpcyjnego dobrobytu, mimo że stoi za nią wiedza uczonych i potęga komputerów, w istocie jest bardzo słaba, a słabość jej w tym, że skierowana jest przeciwko Człowiekowi.

Nawet Kearsowa apatia może być, jak się okazało - słabym co prawda - protestem, pierwszym ogniwem w łańcuchu narastającego kryzysu. Nie miał więc racji Tuster twierdząc, że jedynie istotne są decyzje podejmowane na konferencjach w zacisznych samotniach - bzdura! Nie decyzje są ważne, ale reakcja na nie zwykłego obywatela. Nie bez powodu przecież pracownik Nadzoru po nocach staje się innym człowiekiem, a nawet za dnia uprzedza swe ofiary, by przypadkiem nie wpadły mu w ręce. Nie z tęsknoty za świeżym powietrzem zastępy magistrów błąkają się po pustyni. Mózg nie przyjmuje wiedzy obojętnie jak maszyna - wszystko zostawia ślad, wywołuje odzew, i to nader często nie taki, na jaki liczone za stalowymi ścianami...

Przy wjeździe na szosę państwową Kears ponownie zatrzymał samochód, zaprogramował jazdę i przesiadł się na tylne siedzenie, do psa.

Samochód warknął i począł przemieniać przestrzeń w czas - każde dziesięć kilometrów w jedną minutę. Otoczenie szosy zlało się w jedną szarą płaszczyznę.

Otóż i ona, prawdziwa Technologia. Czyżby należało się jej wyrzec, ponownie porozbijać świat na zamknięte, krokom piechura jedynie dostępne przestrzenie, połamać skrzydła samolotom, odjąć koła pociągom? Czy należy zniszczyć radio i telewizję, a w swojej chatynce rozpałić łuczywo? O tym, co znaczy odwrócić się od całego dorobku ludzkości i polegać wyłącznie na samym sobie, najlepiej chyba świadczy przykład Gregora - sinoczarne kręgi pod oczami, dłonie w stwardniałych odciskach, latami brak czasu na odpoczynek przy książce czy muzyce.

Potężny ruch, impuls siły i woli. Znów w głębi duszy odezwał się jakiś motyw, narastał i ściszył stopniowo. Coś na poły zapomnianego, melodia z tych lat, gdy Kears był jeszcze młody, pełen sił i ufności, pukająca teraz do drzwi świadomości, prosząc o przypomnienie.

Pies usiadł wyprostowany i westchnął głęboko, jak człowiek. Kears pogładził go po grzbiecie.

Szosa wygięła się w ostrym skręcie, samochód Kearsa wraz z setkami innych maszyn zwolnił bieg. W oddali ukazało się Megapolis, wznosząc się ku górze milionem prostokątnych szczytów, między którymi rozwierał się milion prostokątnych przepaści. Potężny oddech miasta zaciemniał pół nieba.

Serce uderzyło mocniej i... nareszcie! Polały się perliste, roziskrzone strugi muzyki - początek Trzydziestej Ósmej Symfonii. Skąd tu przybyła?... Z dalekiej przeszłości, z zielonych wzgórz wokół starego Salzburga, z jego krętych, ciasnych uliczek i skruszałych płyt wokół fontanny przed uniwersytetem. Zrodziła ją ta miłość, z którą tulił swego syna skromny Leopold, ta przyjaźń, którą Lorenz Hagenauer żywił dla rodziny ubogich muzyków, ta pasja i nadzieja, którą żył i tworzył sam Wolfgang Mozart.

A jednak niosący ideał geniusz sztuki spotyka się niekiedy z surowym, potężnym geniuszem Techniki, jedynie przecież władnym ideał ten ucieleścić!